NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA. KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincy

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 29 września 1906 r. Nr. 39.

Bandyci na gościnnych występach.

(Treść na stronie 2).



Treść numeru: Włamywacze zakordonowi w Krakowie. — Zbójcy we dworze. — Siedlce po pogromie. — Z ulic Warszawy. — Zgon powstańca. — Dyamentowy jubileusz kapłana-patryoty. — Złote wesele. — Jedyny Polak w światowym turnieju. — Otwarcie polskiego kościoła na Kahlenbergu. — Czarne konklawe. — Awanturnica w Watykanie. — Miliony w uśpieniu. — W gnieździe anarchistów. — Następca Trepowa. — Nestor dorożkarzy. — Wybryk przyrody. — Łodzią z Warszawy do morza i t. d. i t. d.

Sensacyjne powieści: „MATECZKA“ (część druga). — PÓŹNA ZEMSTA. — AJENT POLICYJNY.

Od Wydawnictwa.

Wszystkim P. T. Prenumeratorom naszym, ze względu na konieczność uregulowania nakładu, przypominamy z powodu ukończonego trzeciego kwartału, że

czas odnowić przedpłatę,

która w Galicyi wynosi z przesyłką pocztową kwartalnie tylko 4 korony, w Królestwie Polskiem bez odsyłania kwartalnie 1 rb. 80 kop., półrocznie 3 rb 60 kop.; z przesyłką pocztową kwartalnie 2 rb. 60 kop., półrocznie 5 rubli 20 kop.

W Galicyi należy nadsyłać prenumeratę wprost do centralnej Administracyi naszego pisma

w Krakowie, ul. Zacisze l. 7.

w Królestwie Polskiem do biur G. Ungra w Warszawie, ul. Wierzbowa 8, lub Aleje Jerozolimskie 78.

W czwartym kwartale, oprócz sensacyjnych powieści, drukowanych obecnie w „Now. Illustr.“, zaczniemy wkrótce druk niezwykle zajmującej, wyłącznie dla nas pisanej pracy wielce poczytnego powieściopisarza

Artura Gruszeckiego.

Pamiętny Czytelnikom naszym autor „Bojowników“, osnuł najnowszą swoją powieść na tle rozgłośnych pogromów żydowskich w miastach państwa rosyjskiego.

Znany powieściopisarz-publicysta na nasze zaproszenie, odbył umyślne studya na miejscu w Białymstoku i innych miastach, nawiedzonych klęską pogromów, dzieło jego będzie więc miało wartość dokumentu historycznego.

Bandyci na gościnnych występach.

(Do illustracyi tytułowej).

Ostatnie obostrzenia stanu wojennego w miastach Królestwa Polskiego wywołały nagłą emigracyę bandytów tamtejszych, którzy po Warszawie i po prowincyi gospodarowali bezkarnie dopóty, dopóki nie wzięto się do nich ze wszystkich stron na dobre. Już tam musiała na nich zadrżeć skóra, skoro uznali za stosowne na gwałt opuścić kraj, w którym nie siejąc i nie orząc, mogli codzień bogacić się — rozbojami i grabieżą...

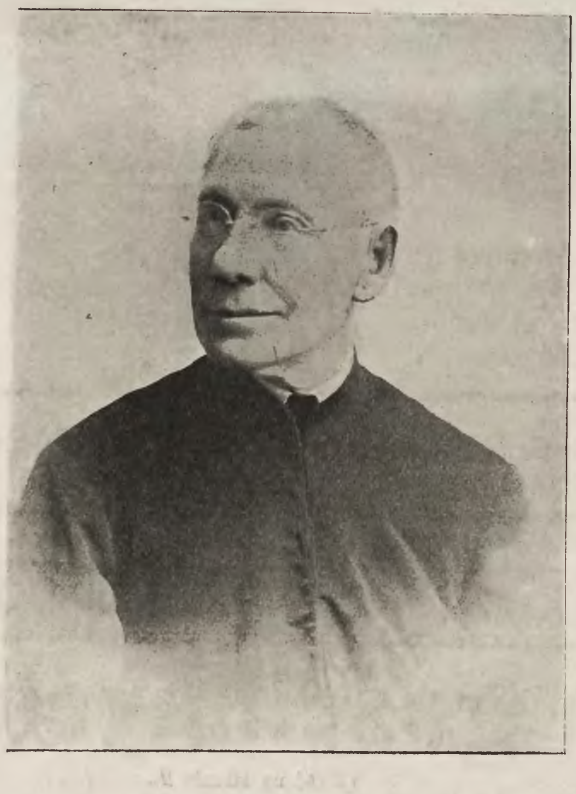
Dość, że zaczęli ci niepożądani goście napływać naraz do Galicyi i do Krakowa. Jednocześnie w kilku miejscowościach pogranicznych dali znać o sobie, poczem na cichym bruku krakowskim narobili wrzawy włamaniem się do kas ogniotrwałych i rabunkiem na większą skalę.

Ich gościnne występy w Galicyi szerzą popłoch od pierwszej chwili, zwłaszcza, że postępują oni tutaj w taki sposób, jak w Królestwie, używając braunigów przeciw policyi, gdy ta chce ich ścigać. Oto pierwszy wypadek, w którym padły ofiary w ludziach.

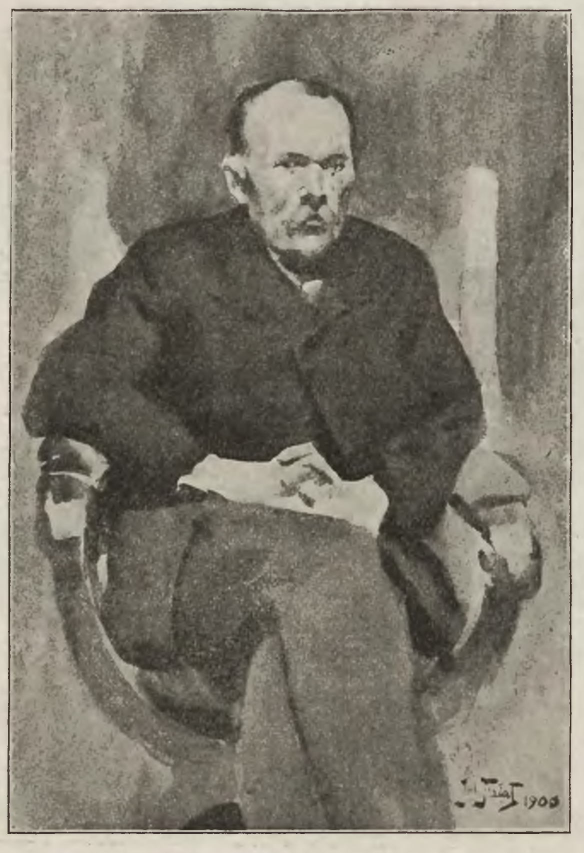
Około godz. 7 rano weszło do szynku niejakiego Grünera w Lipniku, koło Białej, dwóch młodych mężczyzn, którzy zażądali od płatniczego Niemczyka herbaty. Mężczyźni ci opowiadali właścicielowi szynku, że idą do Ostrawy Morawskiej szukać roboty, mówili trochę po czesku, trochę zaś po niemiecku. Ponieważ jednak w szynku herbaty nie było, wysłano ich do restauracyi Molęckiego, dokąd też udali się obaj młodzieńcy. W drodze spotkał ich policyant Andrzej Dietrich, ponieważ zaś obaj nieznajomi wydawali mu się wielce podejrzanemi figurami, wezwał żandarma i w jego towarzystwie wszedł do lokalu restauracyi, gdzie obu mężczyzn aresztował. Podczas eskorty do urzędu policyjnego zaczęli nagle obaj aresztowani uciekać gdy zaś policyant rzucił się za zbiegami w pogoń, jeden z nich, obróciwszy się, strzelił z wydobytego browninga dwa razy do ścigającego ich policyanta, raniąc go ciężko w brzuch; drugi strzał chybił policyanta, kula zaś ugodziła handlarza drzewa z Wieprza, raniąc go w ramię. Towarzyszący ciężko rannemu policyantowi żandarm, nie mógł użyć broni przeciw strzelającym bandytom wskutek tego, że ruch na ulicy, na której scena ta się rozegrała, był bardzo w tym czasie ożywiony. Nie mogąc uciekających dogonić, zatrzymał pierwszy spotkany wóz, a wyprzągłszy z niego konia, dosiadł go, ścigając bandytów, którzy jednak zdołali zbiedz, uciekając w stronę Straconki. Policya zarządziła energiczne poszukiwania za złoczyńcami.

Rysopis obu bandytów zgadza się zupełnie z rysopisem rzezimieszków, którzy dopuścili się całego szeregu włamań i kradzieży w Wadowicach. Jeden z nich liczy od 18 do 20 lat. wzrostu niskiego, o okrągłej twarzy, o wielkich, zaczerwienionych oczach i małym zaroście. Ubrany w szare, poplamione spodnie w kratkę, ciemny surdut, szyję okrytą miał czarną chusteczką. Drugi z bandytów liczyć może od 20 do 22 lat, jest średniego wzrostu, wątłej budowy ciała, o twarzy podłużnej i małym czarnym wąsie. Władze rozesłały za zbiegami listy gończe.

W ostatniej chwili nadeszły wiadomości z Białej, że policyant Dietrich i góral Hojdys z Wieprza wskutek ran zmarli w tamtejszym szpitalu, tymczasem zaś w Oświęcimiu policya przytrzymała na kradzieży dwóch podejrzanych ludzi, którzy wśród śledztwa przyznali się do morderstwa w Lipniku; nazywają się: Józef Dziedzic vel Wywiał i Jędrzej Kurek.



Dyamentowy jubileusz kapłana-patryoty: Czcigodny ks. Józef John, obchodzący w Krakowie 60-lecie kapłaństwa, z czego 18 lat spędził w stepach nadwołżańskich, skazany na wygnanie po powstaniu r. 1863.



Złote gody: Były długoletni prezydent miasta Krakowa, Józef Friedlein, obchodzący złote wesele. (Fotografia według portretu mistrza Fałata).

Dyamentowy jubileusz kapłaństwa.

W niedzielę ubiegłą obchodził w Krakowie rzadki, bo sześćdziesięcioletni jubileusz kapłański, znany dobrze Krakowianom, sędziwy ksiądz Józef John, którego fotografię zamieszczamy obok.

Sędziwy jubilat przebywa w Krakowie od lat 25. Przybył tu, jakby na wypoczynek po długich, chmurnych latach wygnania i tułaczki po obczyźnie, aby w prastarej Piastów stolicy odetchnąć na starość lżejszem powietrzem i tu złożyć sterane żywotem kości.

Wyświęcony w roku 1846 na kapłana dla archidyecezyi warszawskiej, pracował ksiądz John przez 8 lat w kolegiacie łowickiej, a następnie był przez jakiś czas proboszczem w Sewiczynie. W czasie powstania w roku 1863 4, Rząd Narodowy zwracał się doń często, wzywając do różnych posług patryotycznych, których kapłan-patryota nigdy nie odmawiał, spiesząc wszędzie, gdzie wzywał go najświętszy obowiązek miłości Ojczyzny. Zdradzony, skazany został na wygnanie w stepy zawołżańskie, gdzie, przerzucany ciągle w różne miejscowości, mimo surowego zakazu spełniał posługi duchowne, względem napotykanych wszędzie katolików i ziomków. 18 lat spędził ks. John na tułaczce wygnańczej, głównie w gubernii samarskiej i ufimskiej, aż nareszcie pozwolono mu opuścić Rosyę. Przybył więc do Krakowa i tu zamieszkał na stałe w Zgromadzeniu kanoników regularnych przy ul. Sławkowskiej. Zawsze gotowy do pracy, pomocnym jest mimo sędziwego wieku na każde wezwanie tak kościołom parafialnym jak i zakonnym.

Uroczystość jubileuszowa odbyła się w niedzielę w kościele św. Marka. Kościół cały zapełniony był tłumem wiernych, wśród których przeważali znajomi i przyjaciele jubilata, w ten sposób okazując mu dowodnie swój szacunek i cześć. Po uroczystej mszy św., sędziwy jubilat udzielił według zwyczaju wszystkim obecnym błogosławieństwa przez wkładanie rąk na głowę.

Złote wesele.

Przed kilku dniami obchodził uroczystość złotego wesela były prezydent miasta Krakowa, sędziwy Józef Friedlein.

Ślub państwa Friedleinów odbył się przed 50 laty w kościele klasztornym na Bielanach. Od chwili założenia ogniska rodzinnego w Krakowie pozostali państwo Friedleinowie wiernymi staremu miastu, pracując tutaj wspólnie i działając wspólnie każde w swoim zakresie.

P. Friedlein prowadził znaną księgarnię, do dziś dnia istniejącą pod tą samą firmą w Rynku krakowskim, pracował gorliwie dla dobra miasta, jako obywatel, radca miejski, przewodniczący sekcyi ekonomicznej, pierwszy wiceprezydent, a wreszcie prezydent miasta.

Na tem najwyższem stanowisku obywatelskiem



Złote gody: Obchodząca złote wesele Marya z Majerów Józefowa Friedleinowa, małżonka b. prezydenta miasta Krakowa.



Siedlce po pogromie: Mieszkańcy, którzy z krwawych dni wyszli z życiem, ale stracili całe mienie.



Siedlce po pogromie: Domy, w których wnętrzu wszystko zrujnowano, a których mury noszą ślady setek kul.

w starym grodzie polskim pozostawał Józef Friedlein jedenaście lat, a nazwisko jego złączyło się ściśle z historyą Krakowa najnowszych czasów.

Działalność jego na fotelu burmistrzowskim jest zbyt świeżą i pozostaje jeszcze w pamięci wszystkich mieszkańców, byśmy potrzebowali przypominać dziś zasługi obywatelskie prezydenta Friedleina.

Korzystamy jedynie z okazyi, by zamieszczając podobizny sędziwej pary małżeńskiej, obchodzącej pięćdziesięciolecie szczęśliwego pożycia— dołączyć swoje życzenia do licznych powinszowań, jakie Szanownym Jubilatom w dniu ich złotych godów złożyły serdeczne koła naszego miasta.

Siedlce po pogromie.

Każdy zrozumie, z jakimi trudnościami połączone było zdobycie przez naszych korespondentów fotografij z Siedlec.

W poprzednim numerze zamieściliśmy już szereg illustracyj, przejmujących widza swą grozą i rozdzierających serce swoim smutkiem. Były to grupy ofiar — strasznie zeszpecone trupy....

Dziś dodajemy do tamtych nową seryę fotografij, na miejscu zdjętych, a przedstawiających kilka punktów miasta w ruinie.

Na ścianach domów widać liczne ślady kul, a w murze jednej z kamienic przy ul. Pięknej zwraca uwagę wyłom: to ślad bombardowania miasta z dział....

Zgon powstańca.

Szeregi bohaterów ostatniej walki o niepodległość przerzedzają się coraz bardziej. W ubiegłym tygodniu ubył z pomiędzy nich znowu jeden z najdzielniejszych i najbardziej zasłużonych, śp. Aleksander Domaszewicz (jego portret na str. 16).

Urodzony w r. 1842 na Żmudzi w parafii Laudańskiej w Wołmontowiczach, (w owych Wołmontowiczach, uwiecznionych w „Potopie" Sienkiewicza), jako uczeń VII kl. gimnazyum w Kiejdanach wstąpił w szeregi powstańcze, zaciągając się do oddziału ks. Mackiewicza. Pod Powiatówką został ciężko ranny. Skłutego bagnetami, z głową pobitą kolbami, ograbionego do naga, porzucono jako trupa na pobojowisku. Byłby zginął, gdyby nie szlachetny oficer rosyjski, syn kupca z Moskwy, który dostrzegłszy w nim ślady życia, podniósł go, okrył własnem futrem i przewiózł do Kiejdan. Zaledwie



Siedlce po pogromie: Dom na Pięknej, z widocznym w murze otworem, wybitym kulą armatnią.

podgojono młodemu powstańcowi rany w naprędce urządzonem więzieniu w Kiejdanach, uciekł w styczniu, w trzaskające mrozy — boso i kierując się brzegami zmarzłej Niewiaży, trafił do folwarku swej znajomej w Szerkszniach, gdzie się ukrywał kilka tygodni. Wyleczony wraca do rozbitków partyi ks. Mackiewicza, kryjących się pod dowództwem Kognowickiego i wraz z nimi czeka wiosny, żeby znowu podjąć walkę o świętą sprawę. Dopiero po zupełnym upadku powstania przekrada się za granicę. Pracuje w Szwajcaryi jako prosty robotnik, potem kształci się w Paryżu w szkole dróg i mostów. Jako skończony inżynier przyjmuje posadę przy budowie kolei we Francyi, Belgii i Hiszpanii. W roku 1871 służy w czasie oblężenia Paryża w gwardyi narodowej. Wysłany przez grecki Bank kredytowy do Grecyi i Serbii, pracuje na polu melioracyi, i zdobywa ogólny szacunek i uznanie oraz medal zasługi rządu serbskiego.

Ale obca ziemia i obca sława nie mogły zadowolić stęsknionego do Polski serca tułacza. Gdy tylko skromne środki materyalne pozwoliły, osiedla się we Lwowie w r. 1884 i rzuca się na pole przemysłu.

Zgon śp. Domaszewicza osierocił wdowę i kilkoro nieletnich dzieci a wśród szerokich kół we Lwowie wywołał szczery żal i współczucie.

Cześć pamięci dzielnego żołnierza i obywatela!

Dezercya z policyi warszawskiej.

Raporty policyjne zanotowały podanie się do dymisyi rotmistrza Raztiegajewa, komisarza VI. Towarowego, cyrkułu policyi warszawskiej.

Wasilij Wasiliewicz Raztiegajew padł jeszcze przed dwoma blisko laty, z samego początku rozruchów ulicznych, ofiarą zamachu rewolucyonistów na ul. Towarowej. Ranny w szyję, leżał przez parę miesięcy w wojskowym szpitalu Ujazdowskim. Następnie pewien czas pozostawał w szpitalu dla obłąkanych w Tworkach, a kiedy go stamtąd wypuszczono, powrócił do służby policyjnej.

Obecnie w obawie ponownego zamachu na jego osobę, postanowił Raztiegajew usunąć się zupełnie i podał się o uwolnienie.



Siedlce po pogromie: Dom gruntownie złupiony i podpalony.



Siedlce po pogromie: Dawniej zamożni obywatele, czekają dziś na jałmużnę.

CONAN DOYLE.

PÓŹNA ZEMSTA

na język polski przełożył W. L.

ZE WSPOMNIEŃ WATSONA

2 Ciąg dalszy.

Biegłość Holmessa w grze na skrzypcach była prawdziwie wielką, ale całkiem oryginalnej natury, jak wszystko zresztą u tego niezwykłego człowieka. Czasami grywał mi wieczorem niektóre z moich ulubionych kawałków; skoro tylko pozostawiłem go samemu sobie, rzadko można było jakąś melodyę usłyszeć. Opierał się wtedy wygodnie w swoim wysokim fotelu, zamykał oczy i mechanicznie przeciągał smyczkiem po skrzypcach, które leżały na jego kolanach.

Tony, jakie wydobywał wtedy, były zawsze wyrazem jego chwilowego czucia — raz ciche i bolesne jakieś, to znowu wesołe i wyuzdane prawie. Czy postępował wówczas za zmieniającym się humorem swej wyobraźni, czy też chciał może myśli swoje do żywszej pobudzić pracy, powiedzieć nie mogę. Przeciw jego porywającym za serce występom artystycznym, w salonie z pewnością wniósłbym protest; aby mnie jednak, do pewnego stopnia za próbę cierpliwości odszkodować, kończył zazwyczaj w ten sposób, że grał potem cały szereg moich ulubionych melodyj bez przerwy, co mnie musiało uspokoić.

W pierwszym tygodniu nikt nas nie odwiedzał i już poczynałem przypuszczać, że mój towarzysz równie jak ja osamotniony na tym świecie, gdy wyjaśniło się nagle, że ma znajomych bardzo wielu i to w najrozmaitszych warstwach społeczeństwa. Ten mały człowiek z blado-żółtą twarzą, zdradzający dziwne pokrewieństwo ze szczurem, przedstawiony mi jako pan Lestrade, przyszedł w ciągu tygodnia co najmniej cztery razy. Pewnego rana zjawiła się młoda dziewczyna, nadzwyczaj elegancko ubrana i pozostała przeszło pół godziny Popołudniu tegoż samego dnia zastałem jakiegoś starszego siwego jegomościa, wyglądającego na żyda-włóczęgę. Za nim wsunęła się cicho do pokoju jakaś wstrętna, stara kobieta. Przy innej sposobności miał dłuższą konferencyę z Holmessem jakiś czcigodny starzec, to znowu urzędnik w kolejowym uniformie. Za każdym razem, skoro zjawiła się któraś z tych dziwacznych postaci, prosił mnie Holmess o pozostawienie go samego w pokoju, więc udawałem się zwykle do mojej sypialni. Usprawiedliwiał się też niejednokrotnie, że naraża mnie na podobne nieprzyjemności.

— Trudno! muszę używać pokoju tego w najrozmaitszych interesach, ci ludzie to moi klienci.

Przez delikatność nie starałem się użyć tej sposobności do wyjaśnienia mi jego tajemniczego działania. Nie chciałem zdobywać sobie gwałtem zaufania, jakiem mnie sam nie darzył i w końcu wmówiłem w siebie, że trzyma to wszystko w tajemnicy z jakiegoś bardzo ważnego powodu. Że omyliłem się grubo, miałem się niebawem przekonać.

Czwartego marca — dzień ten utkwił mi dobrze w pamięci — zerwałem się z łóżka wcześniej niż zazwyczaj i zastałem Holmessa przy śniadaniu. Kawa moja nie była jeszcze gotowa i gniewny, że muszę czekać, porwałem jakiś dziennik ze stołu, podczas gdy mój towarzysz smacznie zajadał śniadanie.

Zwrok mój padł najpierw na pewien artykuł, podkreślony niebieskim ołówkiem, a zatytułowany: „Księga żywota". Autor starał się udowodnić, że uważny badacz ludzi i rzeczy, mógłby niezmiernie wiele skorzystać, gdyby zechciał się tylko przyzwyczaić — wszystko co spotka na swej drodze, badać możliwie najdokładniej. Dowód był krótki i zwięzły, końcowe sądy wydały mi się jednakowoż za daleko idące, całość zaś wyglądała na mieszaninę bystrych lecz niewybrednych twierdzeń. Człowiek umiejący badać i analizować, mógł zdaniem autora czytać najtajniejsze myśli drugiego i to z taką pewnością, że niewtajemniczonemu w tę sprawę wydawać się to może jako sztuczki nieczyste.

Życie jest jednym wielkim łańcuchem przyczyn i działań — czytałem dalej — na jednem jedynem ogniwie można wnioskować o całości. Jak zresztą każda inna gałąź wiedzy wymaga studyum dedukcyi i analizy, wiele wytrwałości i cierpliwości; krótkie życie jednego człowieka nie może doprowadzić tej pracy do skończonej doskonałości. Początkujący dobrze zatem zrobi, jeśli ograniczy się na zadaniach łatwiejszych, zanim przystąpi do rozwiązania duchowych i obyczajowych problemów, przedstawiających największe trudności. Dla wprawy niech postara się oznaczyć na pierwszy rzut oka historyę życia i zawód jakiegoś obcego człowieka, którego napotka na ulicy. Kształci to dar spostrzegawczy i uczy przytem rozsądnie wnioskować. Po paznogciach, ubraniu. mankietach, trzewikach, skórze na palcu wskazującym i kciuku, wyrazie twarzy i wielu innych rzeczach, można najdokładniej rozpoznać codzienne zatrudnienia danego osobnika. Aby badacz, zdolny do wydawania sądów, umiejący łączyć rozmaite dane, nie wydał prawdziwego sądu końcowego, pomyśleć po prostu nie można.

— Cóż za głupie brednie — zawołałem, rzucając dziennikiem — jak długo żyję nie słyszałem czegoś podobnego.

Sherlock Holmess spojrzał na mnie z wyrazem zapytania.

— Podkreśliłeś pan ten artykuł — mówiłem dalej — musiałeś go pan zatem przeczytać. Że zredagowany zręcznie nie przeczę Gniewają mnie jednak podobne bezsensowne teorye, zrodzone w domu przy biurku redakcyjnem, a rozbijające się następnie o rzeczywistość. Pan autor powinien się raz choćby przejechać wagonem 3 klasy i popróbować rozpoznać zatrudnienie jednego z podróżnych po palcach. Idę w zakład, że się zbłamuje.

— Przegrałbyś pan zakład — odpowiedział Holmess spokojnie. — Co się tyczy zresztą tego artykułu ja go pisałem.

— Pan?

— Tak jest! Mam specyalne zdolności w kierunku obserwacyjnym i w wydawaniu końcowych sądów. Teorye, które tutaj panu wyjaśniam, a które w oczach pańskich za niedowarzone uchodzą, znajdują w praktyce najdoskonalsze zastosowanie, tak — co więcej — zarabiam tem na moje utrzymanie.

— Czy to możliwe? — Spytałem mimowoli.

— To moje rzemiosło! Jestem tajnym doradcą policyjnym — jeśli pan wie, o co chodzi — jedynym może w swoim rodzaju. W Londynie jest cała masa detektywów, stojących częścią na usługach rządu, częścią osób prywatnych. Jeśli któryś z tych panów nie może sobie dać rady, przychodzi po prostu do mnie, a ja naprowadzam go na ślad właściwy. Przynoszą mi cały materyał dowodowy, a ja potem jestem przeważnie w możności wskazać im drogę właściwą przy moich znajomościach historyi zbrodniarzy. Wszystkie zbrodnie są w gruncie rzeczy wielce spokrewnione ze sobą, a jeśli ma się w głowie szczegóły tysiąca przekroczeń, to musiałby stać się cud niewątpliwie, gdybym nie odgadł tysiącznego pierwszego. Lestrade jest znanym detektywem. Męczył się niedawno historyą fałszerzy monet, dlatego mnie tak często odwiedzał.

— A inni ludzie?

— Przychodzili głównie z polecenia osób prywatnych. Każdemu z nich leży coś na sercu, zasięga więc u mnie rady Opowiadają mi swoją historyę, słuchają moich objaśnień — potem pobieram honoraryum.

— Czyż możesz pan w istocie, siedząc spokojnie w pokoju, rozwiązać najzawilsze węzły, nad którymi mozolą się inni — nawet wtedy, jeśli nie widziałeś pan miejsca, gdzie się to wszystko stało?

— Nieraz tak było; mam przecież dar inspiracyi. Zachodzi jednak jakiś specyalnie trudny wypadek — oglądam sobie sam miejsce zbrodni. Mam pewnego rodzaju wiadomości, które ułatwiają mi znacznie mą pracę. Moja wprawa ogromna w wydawaniu końcowych sądów, o których mówi właśnie ten artykuł, jest dla mnie ogromnej wagi w praktyce. Obserwowanie stało się moją drugą naturą. Gdy powiedziałem panu przy pierwszem spotkaniu, że wracasz pan z Afganistanu, byłeś pan bardzo zdziwiony.

— Ktoś to musiał panu powiedzieć!

— Broń Boże! Sam to poznałem. Bieg moich myśli jest przeważnie do tego stopnia szybki, że sądy końcowe wraz z ich szczegółami, zaledwie przejdą przez moją świadomość. A jednak wszystko pozostaje w logicznym związku. Tak wnioskowałem wtedy: Ten pan wygląda na doktora i trzyma się przytem po wojskowemu. Musi być zatem wojskowym lekarzem. Ciemnej cery nie ma od urodzenia, ponieważ powyżej dłoni skóra jest o wiele jaśniejsza — przybywa więc prosto z krajów tropikalnych. Że wiele przeszedł w swem życiu, świadczą najlepiej jego wychudłe policzki; lewe jego ramie musiało być zranione, zwisa mu bowiem nieco. W jakiej tropikalnej okolicy może ranę otrzymać angielski lekarz wojskowy? Rozumie się samo przez się — w Afganistanie. W czasie krótszym. niż jedna sekunda, doszedłem do wniosku, który pana wprawił w prawdziwy podziw.

— Tak jak pan to objaśnia, wydaje się sprawa jasną ogromnie. Słyszałem nieraz o czemś podobnem, żeby to jednak mogło zachodzić w rzeczywistości, nie przypuszczałem ani na chwilę.

— Gdyby tylko działy się zbrodnie, wykrycie których wymagałoby niezwykłej bystrości — powiadał dalej Holmess. Wiem dobrze o tem, że mam dosyć zdolności, aby moje nazwisko rozgłosić po świecie. Żaden jeszcze człowiek nie posiadał tyle naturalnych zdolności w tym fachu, żaden nie poświęcał się temu z takiem zamiłowaniem jak ja. Lecz cóż mi po tem wszystkiem? Zbrodniarze są przeważnie takimi niezgrabiaszami, a czyny ich tak widoczne, że najzwyklejszy urzędnik policyjny przejrzy ich i wykryje bez zbytnich trudności.

Byłem zły trochę, słysząc, jak mówił o sobie. Ażeby zwrócić naszą rozmowę na inne tory, zbliżyłem się do okna.

— Ciekaw jestem, czego może szukać ten człowiek po drugiej stronie — zapytałem, wskazując na całkiem skromnie ubranego człowieka, który zdawał się wszystkie numera po stronie przeciwnej przeglądać W ręku trzymał wielką, niebieską kopertę i szedł widocznie z jakąś ważną wieścią.

— Myśli pan o tym spensyonowanym sierżancie okrętowym? — zapytał Sherloch Holmess.

Oczy rozwarły mi się szeroko z podziwu. Do brze mu chełpić się swoją mądrością — pomyślałem sobie, któż może mu udowodnić, że się pomylił!

W tej chwili spostrzegł ten człowiek nasz numer i szybko przeszedł na drugą stronę. Niedługo potem zapukał do drzwi na dole, posłyszeliśmy głęboki głos jego a później ciężkie kroki na schodach.

W minutę był u nas.

— Dla pana Sherlocha — oznajmił, wręczając memu współlokatorowi jakiś list.

Skorzystałem z nadarzającej się sposobności, aby uzdrowić Holmesa z jego manii wielkości. O tej możliwości nie pomyślał, rzucając swe słowa na wiatr bez zastanowienia.

— Czy wolno pana spytać, czem się pan zajmuje? — zagadnąłem przyjacielsko przybyłego.

— Jestem posłańcem — brzmiała krótka odpowiedź — uniform mój oddałem właśnie do poprawy krawcowi.

— A przedtem był pan pewnie — ciągnąłem dalej, utkwiwszy szyderczy wzrok w pokonanym Holmesie.

— Sierżantem lekkiej infanteryi przy flocie królewskiej. Odpowiedzi niema żadnej? Moje uszanowanie? Według rozkazu!

Skłonił się nisko, zasalutował po wojskowemu i szybko opuścił nasz pokój.

ROZDZIAŁ III.

Brikston-Street 3.

Nowy ten przykład praktycznego zużytkowania teoryi mego przyjaciela zadziwił mnie w najwyższym stopniu i zwiększył respekt przed jego darem spostrzegawczym. Opanowało mnie małe podejrzenie, czy cała ta sprawa nie była z góry ułożoną, ale jakiż cel mogłoby to mieć zresztą.

Skoro zwróciłem się do Holmesa, przeczytał już list i patrzał przed siebie wzrokiem zamglonym, bez wyrazu.

— W jakiż sposób zgadłeś to pan znowu? — spytałem podniecony tem wszystkiem do najwyższego stopnie.

— Co takiego? — zapytał zdziwiony.

— To, że ten człowiek jest spensyonowanym sierżantem okrętowym.

— Nie pora teraz do wyjaśnień — zawołał w tonie szorstkim nieco. Lecz uśmiechając się za chwilę, dodał: Pan wybaczy moją szorstkość, ale przerwałeś mi pan bieg moich myśli, nic to jednak nie szkodzi. Więc pan rzeczywiście nie poznał na pierwszy rzut oka, że ten posłaniec był sierżantem na okręcie.

— Jakżeż mógłbym mój panie —

— Sprawa tak jasna przecie! Lecz wyjaśnić znów trudno, jak doszedłem do tego. Że dwa razy dwa cztery, każdy wie o tem dobrze, gdyby zażądano jednak od pana dowodu, sprawa okazałaby się troszkę bardziej zawikłaną. Już na ulicy spostrzegłem niebieską kotwicę, tatuowaną na ręce posłańca, wietrzyłem zatem morze; uwagi mej nie uszła jego postawa żołnierska, zgadłem zatem natychmiast, że jest żołnierzem na okręcie. Głowę

nosił wysoko a laską machał z poczuciem wewnętrznej siły i pewną miną dowódzcy; stąpał przytem z godnością i był w średnim wieku — naturalnie musiał być przedtem sierżantem.

— Wspaniale — zawołałem.

— Ależ to codzienne zjawisko — odparł mi Holmes poznałem jednak po jego zadowolonem obliczu, że pochlebstwo sprawia mu wielką przyjemność. Przypuszczałem przed chwilą, że niema tajemniczych morderstw na świecie, których nie możnaby odkryć na pierwszy rzut oka. Pomyliłem się jednak — wnioskuję to po tym oto liście.

Podsunął mi list, przyniesiony właśnie.

— To straszne — zawołałem, przebiegając go oczyma.

— Brzmi w każdym razie trochę niezwykle; czy może przeczytać pan ten list jeszcze raz na głos?

Uczyniłem zadość jego życzeniu. List był tej treści:

„Kochany panie Holmesie!

Dziś w nocy zaszło coś niezwykłego na ulicy Brikston pod 3 numerem. Stójkowy nasz zauważył tam podczas swojej służby płomień płonącej świecy, a ponieważ dom był pusty zupełnie, zaczął coś podejrzywać. Drzwi były otwarte a w nieumeblowanym przedpokoju znalazł zwłoki jakiegoś eleganckiego pana na ziemi. Enoch J. Drebber Cleveland, Ohio M S. A. było na karcie wizytowej, którą miał przy sobie w kieszeni. Rabunek nie zachodzi; przyczyny śmierci nie skonstatowano jeszcze dotychczas, gdyż znajdują się wprawdzie ślady krwi w pokoju, na zmarłym nie widać jednak ran żadnych. Niejasnem mi jest, jak mógł on zajść do tego opustoszałego mieszkania a cała ta sprawa jest jedną tajemniczą zagadką.

Jeśli zamierza Pan widzieć miejsce wypadku przed godziną 12, spotkamy się tam razem. Pozostawiam wszystko „in statu quo“ aż do pańskiego przybycia. W razie, gdyby Pan nie mógł się zjawić, opowiem Panu najdokładniej najdrobniejsze szczegóły. Uczyni mi Pan wielką przysługę, jeśli się dowiem o Pańskiem zdaniu w tej sprawie.

Z poważaniem

Tobiasz Gregson“

— Gregson jest najzdolniejszym ajentem z całej załogi policyjnej — objaśniał mój przyjaciel — on i Lestrade posiadają szybką i niezmordowaną energię, ale za nic w świecie nie pozwolą się sprowadzić z raz obranej drogi; przytem ogromnie zazdrośni, jak dwie piękności balowe. Gdy razem wpadną na jeden ślad, to jest szopka dopiero.

Ciekawy spokój, z jakim wymawiał te słowa, wydał mi się nieco dziwnym.

— Ależ tu niema chwilki czasu do stracenia — zawołałem z pośpiechem — czy mam panu kazać sprowadzić dorożkę?

— Nie wiem nic jeszcze, czy pójdę tam. Dostałem właśnie napadu lenistwa i jestem dzisiaj najbardziej opieszałym człowiekiem pod słońcem; innym razem znowu nie zbywa mi na energii.

— Ależ to właśnie sprawa, jakiej pan sobie życzyłeś.

— Tak jest; lecz cóż mi z tego wszystkiego, drogi przyjacielu? Nawet gdyby mi się udało rozwiązać tę zawikłaną zagadkę, zasługa przypadnie Gregsonowi, Lestradowi i Spółce. Taka jest właśnie przyjemność, gdy się niema stałej posady.

— Jeśli prosi pana o pomoc!

— Tak, on wie dobrze, że znam się więcej na tych sprawach niż on, w stosunku ze mną nie kryje się z tem wcale. Pozwoliłby sobie jednak raczej język uciąć, nimby się przyznał przed kimś trzecim do swojej niższości. Lecz przypatrzmy się tymczasem tej sprawie. Biorę ją na własną odpowiedzialność. Wyśmieję potem ich obu, choć nic więcej nie przyjdzie mi z tego. Naprzód więc!

Szybko ubrał się w swoją zarzutkę i począł gonić po pokoju z takim pośpiechem, iż natychmiast poznałem, że przeminęło usposobienie obojętne, a dawna energia powróciła w zupełności.

— Gdzie pański kapelusz? — zapytał.

— Czy życzy pan sobie, abym panu towarzyszył — spytałem.

— Jeśli niema pan nic lepszego do roboty!

W parę sekund siedzieliśmy w dorożce, gnając z szybkością błyskawicy w stronę ulicy Brikston.

Dzień był dżdżysty, pochmurny, domy tego samego koloru co brudne ulice, leżały otulone nieprzyjemną mgłą. Humor mego towarzysza nie pozostawiał nic do życzenia. Mówił z ogromną biegłością o skrzypcach kremońskich, i różnicy, jaka zachodzi między skrzypcami Amatiego a Stradivariusa. Zachowywałem się dosyć spokojnie Niepogoda i nieprzyjemne zajęcie, jakie mieliśmy przed sobą, leżały mi na sercu kamieniem.

— Zdaje się, że myśli pańskie nie zajmują się



...skierowałem całą swoją uwagę na martwą postać, rozciągniętą na ziemi, która patrzyła błędnie na sufit.

zupełnie sprawą, o którą chodzi — przerwałem Holmesowi w jego muzycznych wynurzeniach.

— Brakuje mi jeszcze szczegółów — odparł mi na to — a jest to wielkim błędem budować teoryę, jeśli się niema w ręku całego materyału dowodowego. To wpływa na wyrok!

— Wkrótce nasunie się panu sposobność poczynienia ważnych spostrzeżeń — powiedziałem — oto już Brikston Street, a oto i ten dom, jeśli się nie mylę.

— Bez kwestyi! Stój!

Brakowało nam właściwie do przeznaczonego miejsca parę kroków, on jednak uparł się, by wysiąść i przebyć ten mały kawałek pieszo.

Kamienica pod nr. 3 robiła niemiłe, jakieś tajemnicze wrażenie. Należała do grupy złożonej z 4 budynków, które leżały nieco z boku od ulicy. Dwa były zamieszkane, reszta stała próżna. Na ponurych szybach w oknach padały w oczy nalepione kartki, na których widniało ogłoszenie: „Do wynajęcia“. Każdy dom posiadał mały ogródek na przedzie, o kilku chorowitych roślinach. Przez środek ogrodu prowadziła wąska ścieżka, wysypana żółtą gliną, miękką zupełnie wskutek nieustannych deszczów, które lały bez przerwy kilka nocy poprzednich. Ogrodzenie ogrodu stanowił parkan z drzewa na trzy stopy wysoki. Przy bramie parkanu stał zbrojny policyant, otoczony gromadą ciekawych, usiłujących nadaremnie zajrzeć do wnętrza tajemniczego domu.

Spodziewałem się, że Sherlock Holmess wejdzie natychmiast, aby podjąć badania. Lecz on nie pomyślał o tem nawet. Z niezwykłą opieszałością i powolnością, która w podobnych okolicznościach wydała mi się conajmniej nienaturalną, wlókł się od domu do domu, utkwiwszy wzrok już to w ziemię, już to na parkan lub przeciwległe domy. Po chwili wstąpił na ścieżkę, prowadzącą przez ogród, to znaczy, szedł po trawie obok tej ścieżki, spuściwszy badawczy wzrok na ziemię. Dwa razy stanął a okrzyk zadowolenia wyrwał się z jego piersi. Było wprawdzie wiele śladów od nóg ludzkich w mokrej glinie, mogły one pochodzić jednak równie dobrze od nóg policyantów, ustawicznie tędy przechodzących Jak mógł spodziewać się mój towarzysz, aby można było odkryć jeszcze coś ważniejszego, nie mogłem pojąć. Sądząc jednak po próbach jego daru obserwacyjnego w mieszkaniu, musiałem na pewne przypuszczać, że widział bez kwestyi wiele rzeczy, dla mnie zupełnie niewidocznych. Przy bramie spotkaliśmy wysokiego, bladego mężczyznę z jakimś dużym notatnikiem w ręku. Przystąpił szybko do Holmesa i uścisnął mu dłoń z niezwykłą serdecznością.

— Bardzo mi przyjemnie, że pana spotykam — powiedział — wszystko pozostawiłem nietknięte.

— Tylko nie ścieżkę — odparł mój przyjaciel — gdyby przebiegło przez nią całe stado bawołów, z pewnością nie zrujnowałoby jej do tego stopnia. Naturalnie podjąłeś pan przedtem najściślejsze badania, Gregsonie, zanim zezwoliłeś na to.

— W środku w mieszkaniu byłem ogromnie zajęty — odparł wymijająco detektyw — mój kolega Lestrade jest także tutaj;— sądziłem, że pomyśli o tem. Holmes ściągnął szyderczo brwi swoje i spojrzał na mnie:

— Gdzie pracuje dwóch takich jak Gregson i Lestrade — zauważył— niema trzeci nic do roboty.

Gregson zacierał z zadowolenia ręce.

— Zrobiliśmy, co było w naszej mocy; ale to niezwykły wypadek — znam pańskie zamiłowanie do czegoś podobnego.

— Czy przyjechał pan tutaj dorόżką?

— Nie!

— A Lestrade?

— I on przyszedł także piechotą.

— Tak? No to możeby w takim razie oglądnął pokój?

W jakim związku pozostawało to wszystko, było mi nie bardzo jasne; Gregson też wyglądał ogromnie zdziwiony, gdy szedł za Holmessem do domu.

Pełen kurzu korytarz prowadził do kuchni i śpiżarni; na prawo i lewo widniało jeszcze dwoje drzwi. Jednych z nich nie otwierano zapewne parę tygodni, drugie wiodły do pokoju, gdzie popełniono tajemnicze morderstwo.

Holmes wszedł pierwszy a ja postępowałem za nim, opadnięty najrozmaitszego rodzaju uczuciami, jak się to zwykle dzieje, gdy człowiek znajdzie się w obliczu śmierci.

Wielki, czworokątny pokój wyglądał jeszcze obszerniejszy, gdyż mebli w nim nie było. Jaskrawa tapeta była powleczona częściowo pajęczyną, miejscami zwisały strzępy, tak, że widać było mur goły. Na wprost drzwi znajdował się wielki, otwarty piec z gzemsem, na którym spostrzegliśmy ułomek czerwonej świecy. Jedyne okno, przez które wpadały promienie słoneczne, zapylone było do niemożliwości. Ponure, szare oświetlenie harmonizowało doskonale z grubą warstwą kurzu, leżącą na podłodze.

Początkowo skierowałem całą swoją uwagę na martwą postać, rozciągniętą na ziemi, która patrzała błędnie na sufit. C. d. n.



W gnieździe anarchistów: Scena z życia komunistycznego osobliwej kolonii anarchistów pokojowych, w belgijskiej wiosce Stokel pod Brukselą, założonej przez Emila Chapeliera pod nazwą „Eksperyment“.

W gnieździe anarchistów.

Pod nazwą anarchisty wyobraża sobie Czytelnik naturalnie człowieka niebezpiecznego, w rodzaju n. p. zabójcy cesarzowej austryackiej lub króla włoskiego, a przynajmniej sprawcy zamachu na młode życie króla hiszpańskiego.

To też napis w „gnieździe anarchistów“ — przywiedzie niewątpliwie każdemu na myśl jakieś tajemnicze podziemia, zręcznie ukryte przed okiem policyi, a stanowiące fabrykę bomb śmiercionośnych, czy innych machin piekielnych, przeznaczonych dla przedstawicieli monarchicznego ustroju państwowego.

Tymczasem podajemy tu dzisiaj parę fotografij z życia idealnie cichego gniazdka wiejskiego, którego spokojnych mieszkańców nie ściga policya i nie podpatrują w zręcznem przebraniu tajni detektywi. Przeciwnie, gościom wstęp dozwolony, nawet gospodarze mile widzą u siebie zwiedzających urządzenia tej kolonii, z którymi nie kryją się bynajmniej ci — „anarchiści pokojowi“....

Mówimy tu o wiosce Stokel w Belgii, tuż pod Brukselą, gdzie niedawno założył Emil Chapelier wzorową kolonię utopistów, zwolenników nie niebezpiecznego odłamu anarchistów międzynarodowych. Nazywają się sami anarchistami pokojowymi, a w intencyach tych marzycieli, pragnących świat uszczęśliwić po swojemu, nie leży istotnie wojowanie z pomocą bomb, jakkolwiek nie są zadowoleni z obecnego ustroju społecznego, na równi z tamtymi, którzy dynamitem chcą nowy ład zaprowadzić i postrach sieją naokół nitrogliceryną, skutkiem czego mają już na sumieniu mnóstwo ofiar w ludziach....

Koloniści z wioski Stokel nietylko nie zabili nikogo, ale zabijać nie chcą i właśnie propagują pokój wieczny — miast wojen. Spokojni ci ludzie nawet zwierząt nie zabijają i dlatego mięsa nie jedzą, hołdując ze szczerego przekonania i z najszlachetniejszych pobudek, najsurowszym zasadom wegetaryanizmu. Nie dziw, że ich cechą przedewszystkiem łagodność i dobroć, skoro karmią się jedynie mlekiem i nabiałem z pokarmów zwierzęcych, a pozatem odżywiają się jedynie środkami ze świata roślinnego: owocami i jarzynami.

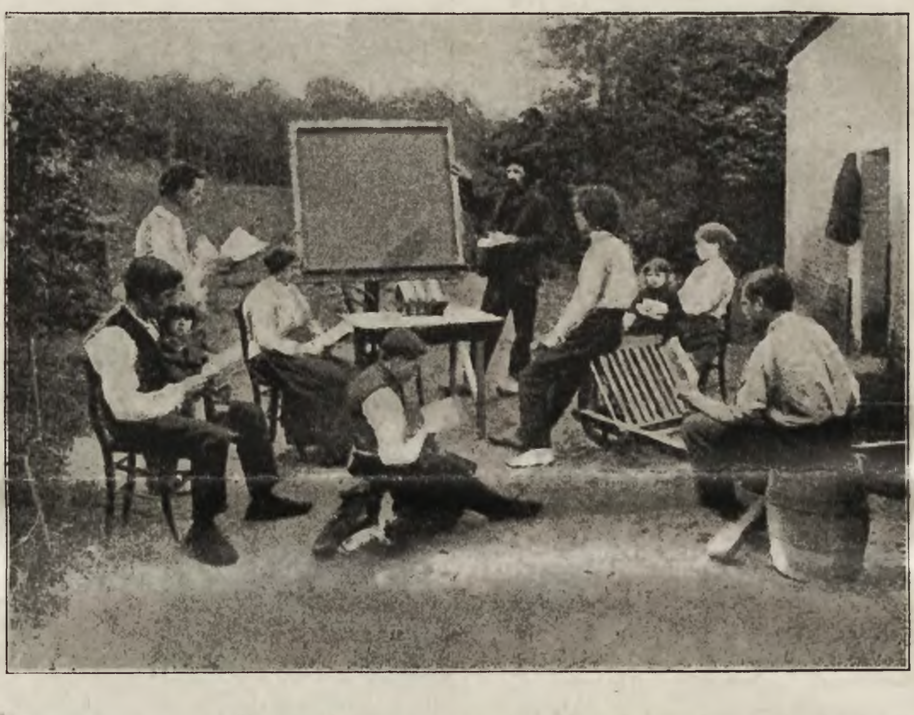
Wszyscy koloniści pracują gorliwie. Czem się zajmują? Wszystkiem, czego tylko potrzeba samoistnej kolonii, nie oglądającej się na nikogo innego, jak tylko na pracę rąk własnych. Oddają się tedy rolnictwu i ogrodnictwu, hodują bydło dla nabiału i owce na podstrzyganie. Mają warsztaty tkackie, krawieckie, stolarskie, ciesielskie, garncarskie itp. Wogóle nie brak im niczego, ale wszystko to jest własnością wspólną, koloniści bowiem wyznają zasady komunizmu. Kwitnie tu wolna miłość i swoboda pod każdym względem.

Kąpią się w słońcu, w powietrzu i w zimnej wodzie. Chodzą zwykle boso, albo w sandałach, żeby nie używać butów ze skóry zwierząt zabijanych.

Twórca kolonii, zakładając ją, nazwał ją skromnie „Eksperyment“. Co dzień do wioski Stokel zjawia się wielu ciekawych przybyszów, którzy z satysfakcyą zwiedzają szczegółowo urządzenia kolonii bosych jaroszów, wśród których — jak zgodnie zapewniają ci, co już poznali Stokel — spędza się czas nader przyjemnie, tyle zastaje się tam wesołości pogodnej i kojącego spokoju, mimo, że bawi się wśród.... anarchistów.

Koloniści tamtejsi porozumiewają się międzynarodowym językiem Esperanto, na którego publicznych wykładach mile widzą obcych gości. Wydają oni nawet dla siebie książki i własny dziennik, co wszystko nietylko sami piszą, ale i drukują we własnych zakładach.

* * *



W gnieździe anarchistów: Lekcya międzynarodowego języka Esperanto w kolonii anarchistów pokojowych, w belgijskiej wiosce Stokel pod Brukselą, gdzie goście są mile widziani i chętnie na wykłady dopuszczani.

Sądzimy, że Czytelników naszych zainteresują illustracye z tej mało znanej kolonii anarchistów pokojowych, właśnie w czasach, gdy się najczęściej zajmuje jedynie drugim odłamem wyznawców anarchii, z których gniazdami nikt nie chce sąsiadować, w obawie słusznej przed przypadkową eksplozyą nagromadzonych w ukryciu materyałów wybuchowych.

Są to zdjęte na miejscu trzy fotografie z życia kolonistów w Stokel.



W gnieździe anarchistów: Scena z życia komunistycznego osobliwej kolonii anarchistów pokojowych, w belgijskiej wiosce Stokel pod Brukselą, założonej przez Emila Chapeliera pod nazwą „Eksperyment“.

Następca Trepowa.

Kiedy na kilkanaście godzin przed śmiercią generała Trepowa, udzielono mu całomiesięcznego urlopu, by mógł wyjechać za granicę dla poratowania zdrowia, powołano na jego miejsce tymczasowo generała Orłowa, znanego przywódzcę ekspedycyj karnych.

Po nagłej śmierci Trepowa wspominano również, że zapewne Orłow obejmie po zmarłym jego obowiązki na stałe. Jednakowoż depesze przyniosły urzędową nominacyę, według której następcą komendanta pałaców cesarskich został generał Włodzimierz Diedulin, dotychczasowy komendant korpusu żandarmeryi.

Jest to człowiek nieco tylko młodszy od Trepowa. Liczy teraz rok 48 życia. Był wychowańcem korpusu paziów. Karyerę wojskową rozpoczął jako oficer gwardyi w wojnie rosyjsko-tureckiej i po powrocie z placu boju, ukończywszy akademię mikołajewską z odznaczeniem, został przydzielony do sztabu jeneralnego.

W roku 1885 Diedulin otrzymał stanowisko szefa oddziału transportowego w petersburskim okręgu wojskowym, a w trzynaście lat później zamianowany jenerałem majorem, został szefem sekcyi sztabu jeneralnego, zajmującej się transportami wojsk. W r. 1900 został znów szefem komunikacyj wojskowych i urząd ten sprawował do r. 1903, kiedy otrzymał nominacyę na szefa sztabu żandarmeryi.

Gdy w r. 1905 rozpoczęły się zaburzenia petersburskie, zamianowano jenerała Diedulina komendantem stolicy, ufając w jego energię niezwykłą, która też przejawiała się niejednokrotnie silnemi represyami.

Awanturnica w Watykanie.

Niesłychaną sensacyą obudziła niedawno głośna afera zdemaskowania eleganckiej oszustki w arystokratycznych sferach Watykanu, które, jak wiadomo, żyją w pewnej wyłączności i nie mają zwyczaju pospolitować się z byle kim, a wobec tego właśnie pojawienie się niebieskiego ptaka w tych kołach należy do rzadkości.

Mając sposobność zapoznania Czytelników z podobizną rozgłośnej w tej chwili awanturnicy, opowiemy pokrótce cały przebieg tej sensacyjnej sprawy.

Otóż ubiegłego roku żona gwardzisty papieskiego hrabiego Camilla Antonelliego, pani Felicetta, zawarła znajomość z pewną młodą damą, nie tyle piękną, ile wielkim darem pożycia towarzyskiego obdarzoną, która podawała się za markizę nazwiskiem Romita Venezia.

Miała to być siostrzenica wszechwładnego kardynała Rampolli. Mianowicie w ten sposób, opowiadając bajeczne historye, przedstawiała pani Romita swoje tragiczne przejścia. Oto matkę jej a siostrę kardynała uwiódł swego czasu brat markiza di Villamarine, podkomorzy na dworze ówczesnej królowej Małgorzaty włoskiej. Owocem tego stosunku jest markiza Romita, a po jej urodzeniu uwodziciel spowodował śmierć matki. Przeciw winowajcy zamierzała markiza Romita — jak zapewniała ona hr. Antonellich — wytoczyć teraz



Następca Trepowa: Dotychczasowy szef sztabu żandarmeryi w Rosyi, generał Włodzimierz Diedulin, mianowany po śmierci Trepowa komendantem pałaców cesarskich.

proces. W tym celu dostarczał jej rzekomo pieniędzy sam wuj-kardynał. Ale nadto starała się ona dawać znajomym do zrozumienia, że rychło stanie się posiadaczką wielkiej fortuny, skoro proces wygra, to ostatnie zaś nie ulegało żadnej wątpliwości.

Hrabia Camillo Antonelli widując się codzień z kardynałem Rampollą, miał dość sposobności, by zasięgnąć informacyi wprost u źródła o jego kuzynce. Ale gwardzista papieski umie być dyskretnym i uważałby za krańcowy brak taktu pytać kardynała o osobę, której samo nazwisko byłoby przypuszczalnie obudziło przykre dla eminencyi wspomnienia.

To też na tej dyskrecyi musiała oszustka opierać swój plan sprytny, na szeroką skalę z góry obliczony. Umiała tak swoim losem zainteresować hrabiego i hrabinę, że rychło państwo Antonelli przyjęli awanturnicę do swego domu, nigdzie o kuzynce kardynała nie zasięgając żadnej informacyi.

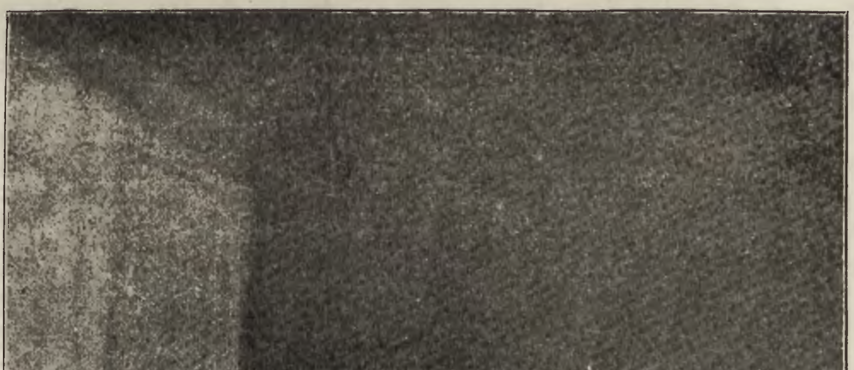
A tymczasem markiza Romita Venezia pozyskała sobie zaufanie wielu księży z dworu papieskiego i pozawierała liczne znajomości z rozmaitemi osobistościami w Watykanie. Bywała w różnych domach arystokratycznych i sama często przyjmowała wizyty, w czasie których miała zwyczaj chętnie i wiele opowiadać o swoim wuju-kardynale. Wreszcie znano ją już powszechnie w sferach watykańskich, uważając „sympatyczną kuzynkę Rampolli“ za ofiarę komplotu wolnomularskiego.

Pewnego dnia pożyczyła markiza Venezia od hrabiny Antonelli tysiąc lirów na jeden dzień. Istotnie nazajutrz zwróciła dług, ale w ten sposób, że pokazała hrabinie ostentacyjnie kopertę z wielu pieczątkami i wyjęła z niej ten sam banknot, który wczoraj od niej pożyczyła, a o którym powiedziała, że to przesyłka od wuja-kardynała. Tym sposobem zdołała wyrobić sobie zaufanie i upewnić tych, którzyby mogli wątpić, że istotnie pozostaje w stałych stosunkach kuzynowskich z Rampollą, którego samo nazwisko działa już niemal w czarodziejski sposób na osoby ze sfer watykańskich. Nie dziw, że jej się udawało tym sposobem systematycznie naciągać różnych ludzi na znaczne sumy pieniężne.

Fałszywą markizę przyjmowano stale z wielkiemi honorami we wszystkich domach i nawet przez palce patrzano na jej ostentacyjną przyjaźń z niektórymi duchownymi, z których wyróżniała zwłaszcza pewnego Dominikanina, nazwiskiem Umberto Ciarchi. Jego to zabrała ona z sobą do Tryestu, wybierając się tam po Wielkiej nocy dla przypilnowania, jak mówiła, swego procesu. Namówiła też do tej podróży i hrabinę Antonelli, od której pożyczyła na rachunek wyprocesowanego majątku, kilka tysięcy lirów. Nadto na kredyt hrabiny pobrała mnóstwo rzeczy w pierwszorzędnych magazynach rzymskich, między innemi ol-



Awanturnica w Watykanie: Policya prowadzi do więzienia oszustkę Filomenę Spozita, która wśród arystokracyi watykańskiej uchodziła za markizę Romitę Venezią i podawała się za siostrzenicę kardynała Rampolli.



Awanturnica w Watykanie: Policya prowadzi do więzienia aresztowanego w chwili, gdy chciał uciekać w przebraniu mnicha, Umberta Ciarchiego, który dla fałszywej markizy Venezia, zabrał 12 000 lirów z kasy klasztoru Dominikanów.

brzymią lalkę na prezent dla księżniczki Jolanty, córki króla Wiktora Emanuela. Z Tryestu odbywała markiza częste wycieczki w towarzystwie owego Dominikanina, co wreszcie zwróciło uwagę hrabiny. Ale Romita w porę uśpiła jej czujność nowemi zmyślonemi historyami, że wreszcie sama hrabina pojechała z nią na poszukiwanie „mordercy matki markizy“ do... Monte Carlo. Tu dopiero oczy otwarły się hrabinie Kiedy oczekiwała pani Antonelli posyłki pieniężnej od męża swego z Rzymu, podjęła ją na poczcie zamiast niej markiza Venezia, która nadto prawdziwe jej brylanty zastąpiła fałszywemi i to zwykłemi szkiełkami. Jednocześnie naciągnęła Romita towarzyszącego jej mnicha na kilkanaście tysięcy. W ten sposób hrabina została w Tryeście, czekając ciągle na pieniądze od męża, a markiza prędzej wróciła sama do Rzymu i zajechała z powrotem do domu Antonellich. Z hrabią udała się do Florencyi, gdzie przypadkiem spotkano się z hrabiną wracającą z Monte Carlo. To wywołało scenę gwałtowną, ale fałszywej markizy nie oddano jeszcze w ręce sądu, nie chcąc wywoływać skandalu Dopiero na żądanie kupców rzymskich. pokrzywdzonych przez oszustkę. uwięziła policya rzekomą kuzynkę kardynała, gdy chciała ulotnić się z Włoch w towarzystwie mnicha Umberta. Aresztowano i jego na żądanie klasztoru, z którego kasy zabrał on 12 tysięcy lirów. Dwa razy tyle została oszustka dłużną hrabstwu, nie licząc poszkodowanych dostawców ich domu.

Okazało się, że fałszywa markiza, która nigdy nie była kuzynką kardynała, nazywa się Filomena Spozita i pochodzi z Neapolu, a niedawno odsiedziała w Padwie 8 miesięcy więzienia za oszustwo.

Jubileusz pedagoga.

Trzydzieści lat pracy pedagogicznej, to kawał czasu, to brzemię pracy ciężkiej i odpowiedzialnej. pod którem niejeden ugiąć się musi i pada. Praca nad wychowaniem młodzieży, o ile daje może najwięcej zadowolenia wewnętrznego, o tyle wymaga od pedagoga nadzwyczajnych zalet umysłu i tężyzny fizycznych sił. I jednem i drugiem odznacza się dyrektor szkoły realnej w Żywcu, dr Bronisław Gustawicz, który w tych dniach obchodził właśnie 30-lecie swej pracy pedagogicznej.

Dyrektor Gustawicz, osobistość znana w Krakowie i powszechną ciesząca się sympatyą, dał się poznać szerszemu ogółowi nie tylko jako pedagog sumienny i zdolny, ale także jako człowiek głębokiej wiedzy i nauki. Jego fachowe prace literackie, pomieszczane w wielu czasopismach, zjednały mu uznanie w kołach naukowych, a szacunek i sympatyę w szerokich sferach społeczeństwa.

Dziecko Krakowa, dyrektor Gustawicz, którego portret zamieszczamy obok — tutaj ujrzał światło dzienne w roku 1852, tu uczęszczał do gimnazyum św. Anny, gdzie złożył egzamin dojrza-



Jubileusz pedagoga: Zasłużony dyrektor szkoły realnej w Żywcu, Bronisław Gustawicz, który w tych dniach obchodził złote gody małżeńskie, a zarazem jubileusz 30-lecia pracy pedagogicznej.

łości. Następnie udał się do Lwowa, gdzie uczęszczał do Akademii technicznej, a w roku 1875 wstąpił na wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego. Po złożeniu przepisanych egzaminów nauczycielskich na wyższe szkoły realne, rozpoczął w roku 1876 zawód pedagogiczny w gimnazyum św. Anny w Krakowie. W dziesięć lat później został profesorem matematyki i fizyki w wyższej szkole przemysłowej, w roku 1890 profesorem w gimnazyum Sobieskiego, a w roku 1904 mianowano go dyrektorem nowopowstałej w Żywcu szkoły realnej, na którem to stanowisku do dziś dnia pozostaje. Świetna przeszłość zawodowa, wybitne naukowe zdolności i zacny, nieskazitelny charakter zjednały mu powszechny szacunek, którego wyrazem były owe setki serdecznych życzeń, jakie dyrektor Gustawicz otrzymał w dniu jubileuszu swej trzydziestoletniej pracy pedagogicznej.

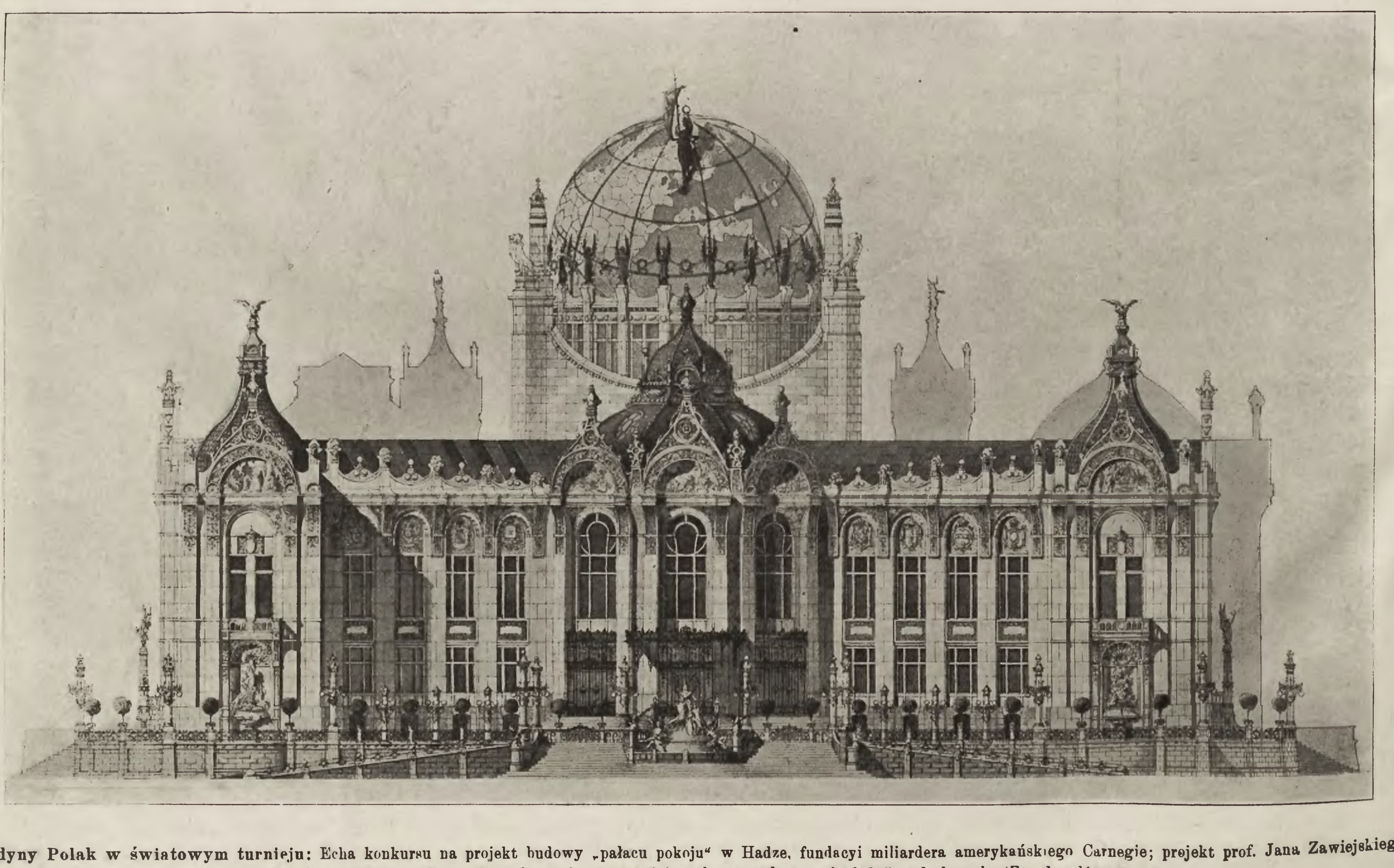
Z uroczystością jubileuszu pedagoga splotła się uroczystość 30 letniego jubileuszu godów weselnych dyrektora Gustawicza.

Zamieszczając portret jubilata i tę pobieżną sylwetkę, nie wątpimy, że czynimy zadość życzeniom setek przyjaciół, uczniów i kolegów dyr. Gustawicza, któremu ze swej strony zasyłamy serdeczne „ad multos annos“.

Jedyny Polak na światowym turnieju.

Rozgłośny miliarder amerykański Carnegie, którego nazwisko nie jest obce i polskiej publiczności, ofiarował swego czasu około 10 milionów dolarów na postawienie „pałacu pokoju“ w Hadze. O celach, jakim służyć ma ten pałac pisaliśmy już w „Now. Illustrowanych“ przed kilku tygodniami. Wiadomo tedy, że będą miały w jego murach sądy międzypaństwowe rozstrzygać o losach narodów, ilekroć przyszłoby do sporów, jakie po dziś dzień doprowadzają zazwyczaj do walk bratobójczych. Myślą bowiem przewodnią hojnego ofiarodawcy było hasło: „Koniec wojnom, precz z bronią i rozlewem krwi“.

Postanowiwszy wznieść w Hadze pałac pokoju, rozpisano na plany budowy konkurs międzynarodowy, do którego stanęło, mimo nadzwyczajnie uciążliwych warunków — aż 265 architektów z całego świata. Do Hagi nadesłano z górą 3.000 planów, tak, że wreszcie nie było w mieście nawet sal odpowiednich, gdzieby się dało wszystkie projekty należycie rozwiesić dla użytku sędziów konkursowych. Ostatecznie przeznaczono na ten cel pałac księcia Orańskiego i tam zebrał się sąd konkursowy, składający się z Amerykanów, Anglików, Francuzów i Niemców, oraz jedynego austryackiego architekty, prof. Königa z Wiednia. W myśl programu, pomimo, że do turnieju artystycznego stanęło 265 architektów, rozdano nagród tylko 6. Pierwszą nagrodę otrzymał Francuz Cordounier z Lille, (którego projekt przed kilku tygodniami podaliśmy w naszem piśmie według nadesłanej z Hagi fotografii). Drugą nagrodę wziął Paryżanin Marcell, trzecią Berlińczyk, czwartą Wiedeńczyk, (jedyny przedstawiciel Austryi na tym turnieju architektów, mianowicie profesor Wagner, przywódca Secesyi wiedeńskiej); piąta nagroda przypadła w udziale Prusakowi, szóstą i ostatnią



Jedyny Polak w światowym turnieju: Echa konkursu na projekt budowy „pałacu pokoju“ w Hadze, fundacyi miliardera amerykańskiego Carnegie; projekt prof. Jana Zawiejskiego z Krakowa, jeden z kilkunastu wybranych przez sędziów do nagrody z pośród 265 nadesłanych. (Fasada główna).

przyznano Amerykaninowi. Poza tem nie dano nikomu nawet t. zw. „wzmianki zaszczytnej“, co się praktykuje na wszystkich konkursach. czyli że 259 architektów poświęciło olbrzymi zasób pracy jedynie dla honoru, dla pięknej idei pokoju, nie otrzymawszy za to żadnego odznaczenia.

Jedynym Polakiem, który wziął udział w tym światowym konkursie, jest popularny w Krakowie, a zaszczytnie znany w całej Polsce, profesor Jan Zawiejski, krakowski architekt miejski. twórca pięknego teatru i gmachów szkolnych, projektodawca prześlicznych budowli.

Posłany do Hagi na konkurs jego projekt pałacu pokoju jest wspaniały w całości i w szczegółach pomyślany bardzo pięknie. Publiczność polska nabierze nieco pojęcia o tym pomyśle rodaka z dwóch illustracyi, jakie zamieszczamy w dzisiejszym numerze, a dajemy z tego projektu prof. Zawiejskiego zaledwie część drobną, miano wicie główną fasadę oraz widok perspektywiczny.

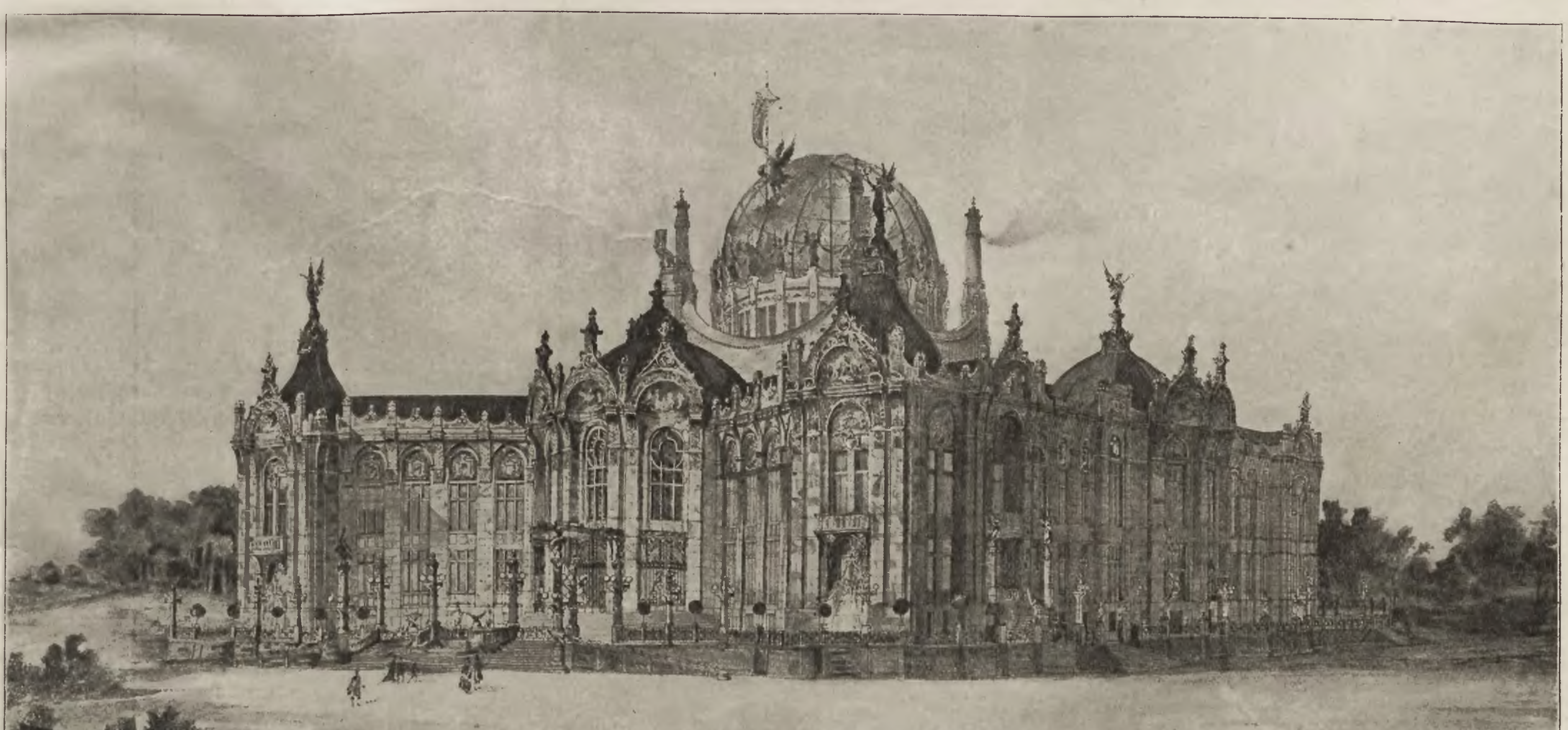


„Miliony w uśpieniu“: Słynna Teresa Humbertowa, po ułaskawieniu jej, opuszcza więzienie w Rennes, przyczem zapewnia reporterów, że nadeszła chwila, w której obudzi znajdujące się w uśpieniu jej miliony.

Prócz mnóstwa pełnych artyzmu szczegółów monumentalnej budowy, rzuca się w oczy przedewszystkiem kopuła środkowa, pomyślana jako kolorowy witraż, przedstawiający globus, elektrycznie od wewnątrz oświetlony; w tem miejscu, gdzie na globusie leży miasto Haga, anioł zatyka „sztandar pokoju“. Projekt jedynego Polaka zwracał powszechną uwagę na wystawie planów i wyróżniał się z pomiędzy paru setek innych pomysłów architektonicznych. To też bynajmniej nie pominęli go sędziowie konkursu. Oto według sprawozdania jurorów, ogłoszonego drukiem w 4 językach (niemieckim, angielskim, francuskim i holenderskim) wybrano z pomiędzy wszystkich 265 planów zale dwie kilkanaście projektów przeznaczonych do nagrody. A właśnie w rzędzie tych kilkunastu wybranych znajdował się i to na jednem z pierwszych miejsc, ów jedyny projekt polski, projekt krakowskiego profesora z godłem „Cedant arma togae“ (słynne wyrażenie łacińskie: niechaj zbroja ustąpi przed togą).

Zaszczyt to przynosi prof. Zawiejskiemu.

Naszych zaś Czytelników niewątpliwie zainteresują załączone illustracye tembardziej, że znakomity autor tego świetnego projektu jest Krakowianinem i że był jedynym Polakiem, biorącym udział w światowym turnieju artystycznym obok 264 architektów wszelkich narodowości.



Jedyny Polak w światowym turnieju: Echa konkursu na projekt budowy „pałacu pokoju“ w Hadze, fundacyi miliardera amerykańskiego Carnegie; projekt prof. Jana Zawiejskiego z Krakowa, jeden z kilkunastu wybranych przez sędziów do nagrody z pośród 265 nadesłanych. (Widok perspektywiczny).

Ajent policyjny.

Powieść na tle stosunków amerykańskich.

Przełożył z angielskiego Joter.

6 Ciąg dalszy

— Ona już wie więcej, jak za dużo!
— A więc co robić?
— Musimy ją zrobić nieszkodliwą!

Szatański uśmiech rozjaśnił wygoloną twarz mężczyzny.

Był on już zdecydowany. Wykrycie groziło — jedna zbrodnia logicznie pociągała za sobą drugą.

— Postarajno się o to, ażeby już nie wychodziła z pokoju — rzekł Robertson do swojej kochanki.

Julia wyszła, ale powróciła już po kilku minutach.

Znalazłam dziewczynę w jej pokoju. Pakowała się, bo — mówiła — u państwa, które ją ciągle podejrzewa, zostać nie może. Nie odpowiedziałam jej na to ani słowa, ale kiedy wychodziłam, zamknęłam drzwi z zewnątrz na klucz. Jest więc uwięziona i bez naszej wiedzy nie może wyjść z domu.

— Wrócę tu za jaką godzinę. Może nieobecność w biurze mogłaby na mnie zwrócić uwagę. Jak wrócę, będę już wiedział, co czynić należy.

I pogrążony w ponurych myślach Robertson opuścił mieszkanie swej kochanki.

Nie upłynął kwadrans po jego odejściu, kiedy do Julii przyszedł Karol Harrington. Julia opowiedziała mu natychmiast o tem, co zaszło.

Karol, oniemiały ze zdziwienia i przerażenia, stał przed nią z szeroko otwartemi oczyma.

Dziewczyna ta pozbawi nas majątku, ona nasz plan rozwieje w niwecz — zawołał, kiedy Julia skończyła

— Tak jest! — rzekła Julia, zaciskając pięści.

— Czy ty masz odwagę, Julio? — zapytał, a na jego pięknem, ale surowem obliczu znać było, że powziął jakiś stanowczy zamiar, który Julia, jak się zdawało, odgadła. Zbladła, ale nie odzywała się ani słówkiem.

— Stracimy nie mniej, jeno pół miliona, jeśli tę dziewczynę stąd bezkarnie wypuścimy. A nadto —

Objął Julię ramieniem i ciągnął dalej:

— Wiesz o tem lepiej, niż ja, jak straszne są dla ciebie te więzy, które cię łączą z tym starym głupcem. Kto wie, czy on się i tego nie dowie, że ja jestem twym mężem, nie bratem, a wtedy co? Wtedy zostaniemy znowu bez grosza i musimy klepać biedę, jak dawniej. Ty mnie kochasz Julio, nieprawdaż? Jak odbierzemy pieniądze temu zakochanemu głupcowi, to pomyślimy o przyszłości. Tak dawno już pracujemy, dążymy do tego celu, a teraz, kiedyśmy tego celu już tak bliscy, mielibyśmy tchórzliwie ręce założyć? Dziewczyna nie może się wygadać z tem co wie; musimy ją uczynić nieszkodliwą!

— Nie zapominaj — odparła Julia szeptem — że, jeśli ta dziewczyna przyszła do nas, aby nas szpiegować, to musi mieć ludzi, którzy nad nią czuwają. Gdybyśmy ją usunęli, oni by nam tego nie puścili płazem.

— Do tego czasu nas już od dawna nie będzie w Nowym Jorku. Teraz trzeba działać, a nie bawić się w skrupuły, które się nigdy mogą nie urzeczywistnić. Czyż nie musimy się bardziej obawiać, żeby się ta pokojówka nie wygadała? Czyż nie mamy do wyboru: stracić wszystko — lub wszystko zyskać?

Przez chwilę panowała w pokoju śmiertelna cisza. Potem Julia Harrington zawołała ochrypłym głosem:

— Musimy zyskać, nie możemy się zatrzymywać tuż u celu!

Podniosła się i poszła do pokoju Łucyi. Stanęła przed drzwiami i zawołała na nią.

Nie otrzymała odpowiedzi.

Zawołała drugi raz i kiedy się przekonała, że drzwi zawsze jeszcze były zamknięte, opanowała ją taka trwoga, iż nie miała odwagi wejść do wnętrza i wróciła do Karola.

— Nie otrzymałam żadnej odpowiedzi na moje wołanie — rzekła do niego — — —

— Jeśli uciekła, jesteśmy zgubieni.

— To niemożliwe, przecież ją zamknęłam!

— Więc zostań tutaj, ja pójdę zobaczyć.

Drżąc na całem ciele, usiadła Julia na krześle, podczas gdy Karol odemknął drzwi i wszedł do pokoju Łucyi.

Ale Łucyi tam nie było.

Marya Golling za dużo widziała i słyszała, aby nie wiedzieć, że jej grozi niebezpieczeństwo u tych, którzy odgadywali przyczyny jej pobytu w domu Julii. Najspokojniej więc ukrytemi starannie w murze drzwiami weszła do przyległego pokoju, przez nią wynajmowanego i wyszła czemprędzej na ulicę.

Karol jak oszołomiony podbiegł do Julii.

— Jesteśmy zgubieni! - Uciekła! — wołał przerażony.

— Nie traćmy odwagi! Nie spoczniemy, dopóki jej nie odnaleziemy! — ozwała się Julia, łudząc temi słowy samą siebie.

— Na razie jednak jesteśmy w położeniu najniebezpieczniejszem. Musimy wytężyć wszystkie siły, aby ją znaleźć i uczynić nieszkodliwą. Donieś o tem natychmiast Robertsonowi.

* * *

W międzyczasie został Henryk Wilbert aresztowany i zamknięty w więzieniu. Już na drugi dzień wieść o sensacyjnej kradzieży lotem błyskawicy obiegła całe miasto.

Pięć ze skradzionych obligacyj zostało sprzedanych i w końcu dostały się do pewnego banku, który je rozpoznał, jako część skradzionych papierów według opublikowanych poprzednio numerów.

Zaczęto więc śledzić za kupcem, a raczej za sprzedawcą, aż policya doszła do tego, kto je najpierw przyniósł na giełdę. Ten podał, że kupił je od niejakiego Karola Harringtona. W godzinę później został Karol uwięziony. Był on zupełnie spokojny i twierdził stanowczo, że jest niewinny. Powiedział, że kupił te papiery od jednego z buchalterów firmy Morton i Ska w dobrej wierze, mając zresztą zupełne zaufanie do owego buchaltera, zażywającego powszechnie najlepszej opinii. Podał zresztą i jego nazwisko: Henryk Wilbert.

Zniesiono się telefonicznie z bankiem pod firmą Morton i Ska i na skutek zasięgniętych tam wiadomości Karol Harrington został natychmiast wypuszczony na wolną stopę, a Henryka Wilberta uwięziono.

Gazety wynosiły policyę pod siódme niebo, wychwalając jej spryt i szybkość, z jaką załatwiła tę sensacyjną aferę. Sprawy stały dla Henryka bardzo źle, a nawet jego adwokat, sądząc po olbrzymim materyale dowodowym, obciążającym Wilberta, jaki zdołano zgromadzić, materyale, który nie pozostawiał najmniejszej wątpliwości co do winy oskarżonego, spodziewał się jeno przez okoliczności łagodzące oddziałać na wydanie wyroku.

Na drugi dzień po aresztowaniu Henryka przyszła do jego celi jakaś starsza kobieta. Przy wejściu wylegitymowała się kartą od dyrektora policyi, więc wpuszczono ją bez żadnych trudności. Kiedy wraz z klucznikiem weszła do kaźni Henryka, zaczęła wołać głośnym, piskliwym głosem:

— Zaiste, młody człowieku, tego się po tobie nie spodziewałam! Okradać własnych przełożonych i chlebodawców!

Henryk natychmiast rozpoznał staruszkę, która mu na ulicy dała trzy tysiące dolarów. Wiedział, że ma przed sobą kobietę, która go uratowała. Serce zaczęło mu silniej bić ze wzruszenia, odwaga i radość przepełniały mu pierś.

Zaledwie dozorca się oddalił, staruszka zaczęła miękkim, poważnym głosem:

— A więc przyszło i najgorsze. Ale niech się pan nie obawia, jestem już na tropie prawdziwego złodzieja. Te łotry umieli w mistrzowski sposób zrzucić ze siebie podejrzenie i wskazać na pana, jako na winnego. Ale ja im dam radę! spryt przeciw sprytowi!

— Więc pani jest już na tropie złodziei? Któż wie jednak, czy pani będzie w stanie zebrać wystarczające dowody...

— Niech się pan nie obawia! Jabym już teraz mogła spowodować pańskie uwolnienie. Chciałabym, żeby pan się zgodził, by podejrzenie jeszcze kilkanaście godzin na panu zostało. Koniecznem jest aby te łotry czuły się zupełnie bezpieczne. Niech się pan zda na mnie! Pan nigdy absolutnie nie może być skazany.

Marya zaczęła się teraz pytać Henryka o szczegóły jego przesłuchania u sędziego śledczego, kiedy dozorca wprowadził do kaźni jakiegoś pana. Był to Robertson.

Lekki, zaledwie dosłyszalny krzyk wydarł się z piersi starej kobiety, która jednakże zaraz oprzytomniała i wpadając w surowy, piskliwy ton, rzekła:

— Tak, tak, kawalerze, żal mi pańskiej matki, mojej przyjaciółki, nie pana, choć pan teraz pod kluczem, w śledztwie. Tak, tak, biedna pańska matka!

Miała zamiar wyjść z kaźni, kiedy Robertson rzucił na nią taki uderzająco badawczy wzrok, że dozorca zapytał:

— Pan zna tę panią?

Bez odpowiedzi i nie zamieniwszy ani słowa z Henrykiem Wilbertem, Robertson wybiegł koło klucznika i jak oszołomiony rzucił się za staruszką. Przypomniał sobie natychmiast, że widział ją kilka razy u Mortona. To, w związku z pewnemi rzeczami, które, jak mu się zdawało znał, naprowadziło go na przypuszczenie nawet bardzo bliskie rzeczywistości. Dałby był grube pieniądze za to, gdybym mógł być pewnym, że Francuzka już więcej nie żyje. Bo dopóki żyła, on nie mógł ani na chwilę znaleźć spokoju. — Muszę ją sprzątnąć ze świata — mówił sobie — ale gdzież ona jest, gdzie się ukrywa?

Staruszka, wyszedłszy z więzienia, skierowała się odrazu w centrum miasta. Robertson szedł za nią.

Po chwili weszła do pewnego sklepu. Robertson postanowił sobie czekać na nią, a tymczasem obserwował ją skrupulatnie, widząc przez szyby wystawowe, co się w sklepie dzieje. Upłynęło może pięć minut, kiedy ze sklepu wyszła młoda, elegancko ubrana dziewczyna. Minął dobry kwadrans, ale starej jakoś widać nie było.

Robertson zaczął się bać. Uchylił trochę drzwi do sklepu, ale się cofnął natychmiast. Starej nie było w sklepie.

Czyżby wyszła drugiemi drzwiami, tylnemi, wychodzącemi na dziedziniec? Czyżby ci ajenci policyjni wszędzie wogóle, nawet w magazynach sklepowych mieli swoje stacye?

Naraz uderzył się w czoło. Przypomniał sobie tę młodą, elegancką dziewczynę, która z zawoalowaną twarzą wyszła ze sklepu i natychmiast domyślił się prawdy.

* * *

Jeszcze tego samego wieczora Robertson nawiązał stosunki z niejakim Mac Guire, godnym przyjacielem Karola Harringtona. Mac Guire, jeszcze młody, może dwudziestoczteroletni mężczyzna, był z gruntu zepsutym, ale sprytnym rzezimieszkiem, który bez skrupułów podejmował się każdej rzeczy, byleby tylko dobrze mu za nią zapłacono. Robertson kazał mu szukać „Francuski“.

Dzięki wrodzonym zdolnościom, udało się wkrótce dowiedzieć Robertsonowi, gdzie dziewczyna przebywa.

Mac Guire widział ją w przebraniu męskiem, kręcącą się koło willi Robertsona. Poszedł więc za nią i przekonał się dowodnie, że ten młody człowiek, ta stara kobieta i ta młoda pokojówka były jedną i tą samą osobistością, jak to już zresztą Robertson przedtem słusznie przypuszczał.

Robertson chciał jeszcze spróbować, czy mu się nie uda okupić swego szczęścia, czy nie potrafi okupić milczenia tej tajemniczej a niebezpiecznej kobiety. Jeśliby zaś nie zgodziła się na jego propozycyę, postanowił ją za wszelką cenę sprzątnąć ze świata.

Marya Golling zdumiała się nie mało, kiedy w pięć dni może po opisanych powyżej zdarzeniach, jakiś przechodzień na ulicy wetknął jej kartkę w rękę. Opuściła właśnie jako pani Brown jedno ze swoich mieszkań. Przeczytała w tym liście, że pewna osoba zna jej rolę, zna jej cele dobrze i że dlatego nie uda się jej nigdy odzyskać skradzionych papierów, które są schowane w pewnej skrytce. Nieznajomy pisał dalej, że nagroda, wyznaczona za wymienienie nazwiska przypuszczalnego złodzieja, bez zwrócenia wartościowych papierów, jest tak małą, że z drugiej strony ona może zarobić znacznie więcej, jeśli zaprzestanie swojego śledztwa i będzie milczeć o tem, co wie dotychczas. Prosił ją dalej, aby dla bliższego omówienia szczegółów znalazła się około 11 w nocy w pewnem oznaczonem miejscu, a to w przebraniu męskiem, aby na siebie nie zwracać uwagi.

O wpół do jedenastej Marya, przebrana za Francuza Duranda znajdowała się w drodze do jednej z najpuściejszych przedmieść Nowego Jorku. Punktualnie o jedenastej przyszła na oznaczone miejsce, jednak nie pokazywała się pierwsza, ale ukryła się za gęstymi krzakami. Po chwili zbliżył się ku niej jakiś człowiek w podartej bluzie robotniczej.

— To sam Robertson! — szepnęła Marya, która go natychmiast poznała po chodzie.

Bankier oparł się o drzewo i niecierpliwie zaczął się rozglądać wokoło, kiedy naraz stanął przed nim mały Francuzik z czarnym wąsikiem i o ciemnej cerze, jakby wyrósł z pod ziemi.

— Ah! Więc pani nareszcie przyszła!

— Dlaczegóżby nie?

— Dostała pani mój list?

— Tak jest!

— W takim razie pani już wie, że ja znam doskonale wszystkie „role“ pani?

— No, a jeśli tak?

— Przedewszystkiem chciałbym wiedzieć, jaki pani ma w tem cel.

— Nie może pan trochę poczekać?

— Absolutnie nie, moja szanowna pani! Odkąd spostrzegłem, jak nadzwyczajne postępy zrobiła pani w angielskiem, nie mam już najmniejszej ochoty do czekania.

— Dobrze, ale w takim razie robisz pan to, czegoś pan nie powinien.

— Pani mnie wyzywa!

Grzegorz Robertson włożył szybko rękę do kieszeni.

— Jestem wprawdzie słabą jeno kobietą — ciągnęła Marya dalej — ale jestem zdecydowana na wszystko. Wyjmij pan, proszę, rękę z kieszeni. Ja mam za sobą dobrą opiekę. Strzał zwoła natychmiast wszystkie, stojące tutaj naokoło patrole policyjne. Widzi pan, że rewolwer na nic się panu nie przyda.

Zgrzytnął zębami w bezsilnej wściekłości.

— Więc czego pan chce ode mnie? — spytała Marya.

— Chciałbym panią przeciągnąć na swoją stronę i usługi pani wziąć dla siebie.

— Czyli, mówiąc inaczej: chcesz mnie pan przekupić, abym zaprzestała swoich dalszych badań i nie wydała nikomu tego, co już wiem.

— A ileż pani wie?

— Tego się pan dowiesz niezadługo.

— Dam pani pięć tysięcy dolarów, jeśli pani jutro opuści Nowy Jork i uda się na dwa lata do Europy.

— Bądź co bądź szlachetna propozycya!

— Zdecyduje się pani przyjąć ją z połączonemi z nią warunkami?

— Nie.

— W takim razie powiedzmy... dziesięć tysięcy?!

— Nie.

— Jeśli się pani nie zgodzi, to pani będzie bardzo ciężko plany własne zrealizować — rzekł Robertson na pół ironicznie, na pół gronie.

— Ja się pana nie boję!

— To giń! szatańska kobieto! — zawołał, wybuchając wściekłością i rzucając się na nią z wyciągniętym rewolwerem. Zanim jednak potrafił odciągnąć cyngiel, został naraz uderzony nożem w ramię, tak, że mu broń wypadła z ręki. Kiedy odzyskał przytomność, Maryi już nie było

Straszliwie wzburzony opuścił pusty plac i udał się, mimo późnej godziny, do swego pomocnika, do Mac Guire Odważna kobieta wyszła z za krzaków i szła za nim, niespostrzeżona przez niego.

Stanąwszy tuż przy niskiem, parterowem oknie małego, zapadłego domku, Marya mogła doskonale obserwować obydwóch.

Robertson mówił coś przekonywująco do chudego Szkota, który tylko od czasu do czasu skinieniem głowy dawał znać, że słucha. Mac Guire był człowiekiem, z którego twarzy znać było, że nie lęka się niczego, co mu przyniesie korzyść. Czarne włosy, spadające mu rozczochraną grzywką na czoło i czarna jak węgiel, kędzierzawa broda, potęgowały jeszcze wyraz zdziczenia i surowości, przebijający się w rysach twarzy. Wzrostu był niskiego, postaci szczupłej, ale męska fizyognomia mówiła wyraźnie, że, gdzie mu brakło fizycznej siły do wykonania zbrodni, tam brak ten zastępował stokrotnie podstępem, chytrością, sprytem i dzikością.

I z takimi ludźmi wdawał się teraz Grzegorz Robertson!

Marya czuła, że z tej strony grozi jej największe niebezpieczeństwo. Wtulona w ciemny kąt, słyszała, jak Robertson, stojąc w sieni, na odchodnem jeszcze mówił do Szkota:

— Więc, jeśli mi pan przyniesiesz dowody jej śmierci, otrzymasz pan pięć tysięcy dolarów w nagrodę. Staw się pan po dokonaniu zadania w mojej willi, a ja panu natychmiast wypłacę tę sumę!

Marya ucieszyła się. Nareszcie nastręczała się jej sposobność dostania się do willi Robertsona. Przypuszczała, że on gdzieś w swoim domu ukrywa skradzione papiery, nie wiedziała tylko, jak się miała urządzić, aby się dostać do niego.

Na drugi dzień wieczorem stała Marya przed zwierciadłem i studyowała nową rolę. Każdy aktor mógłby się był od niej uczyć. Przed lustrem stał Mac Guire, taki, jak żył i jak się ruszał — bujne czarne włosy, śniada cera twarzy, kędzierzawa broda, krzaczaste brwi — krótko, Marya tak była łudząco podobną do Szkota, że, gdyby ich fizyognomie widział ktoś razem obok siebie, to absolutnie nie byłby w stanie ich rozróżnić.

Późnym wieczorem Marya, znowu przebrana jako pani Brown, wyszła z mieszkania, niosąc w ręku w torebce wszystkie rzeczy, potrzebne jej do przebrania się za Mac Guirea.

Zaledwie uszła kilka kroków, zauważyła, że



— W imieniu prawa aresztujemy pana!

ktoś za nią idzie. Przechodziła więc wszerz i wzdłuż rozmaite ożywione ulice, chcąc się przekonać, czy się nie łudzi. Przechodząc przez jakiś plac, rozglądnęła się, jakby czekała na tramwaj. Może dwadzieścia kroków poza sobą spostrzegła Mac Guirea, który się właśnie zatrzymał przy jakiemś oknie wystawowem.

Marya poszła więc dalej swoją drogą, Mac Guire za nią. Na rogu dwóch ulic zobaczyła dwóch elegancko ubranych panów, rozmawiających ze sobą. Byli to tajni ajenci, z którymi się umówiła. Marya, a raczej pani Brown, podeszła ku nim, jak gdyby przypadkiem spotkała na ulicy dwóch znajomych. Mac Guire nie przeczuwał nawet, o czem ona przez te kilka minut z nimi rozmawiała. To też, kiedy pani Brown po chwili pożegnała się z nimi, Szkot poszedł znów w pewnem oddaleniu za nią. Nie zauważył wcale, że ci obydwaj panowie idą tuż za nim. Zgłupiał więc poprostu, kiedy obydwaj nagle chwycili go pod ręce i pomimo jego obrony, wsadzili go do dorożki.

— W imieniu prawa aresztujemy pana!

To było wszystko, co mu powiedzieli. Potem odebrali mu rewolwer, który miał przy sobie ukryty.

Marya doniosła policyi o rozmowie Robertsona z Mac Guirem i w ten sposób się obroniła.

Że policya odkryła w Szkocie poszukiwanego od dawna rzezimieszka i zbrodniarza, to już nie należy do naszego opowiadania, wystarczy, jeśli się Czytelnik dowie, iż Mac Guire za wiele „ciężkich, w ciągu kilku lat popełnionych zbrodni skazany został na dożywotnie więzienie. Marya ze swej strony nie obciążała go już zupełnie, wystarczało jej, że się od niego uwolniła, a w sercu czuła nawet wdzięczność dla nędznika. On to bowiem był tym, który pośrednio dopomógł jej do odzyskania skradzionych papierów, bo w jego masce zdołała wedrzeć się do willi Robertsona.

* * *

Była może północ, kiedy Robertson niespokojnie przechadzał się po swoim pokoju. Czoło porało mu się w głębokie bruzdy, które zdradzały trwogę, jaka go żarła od czasu, kiedy się dowiedział, że francuska pokojóweczka zna jego tajemnicę. Z febrycznem drżeniem oczekiwał Szkota, który mu miał przynieść pewną wiadomość, że jego najzaciętszy wróg nie przebywa już pomiędzy żywymi....

Nareszcie w drzwiach stanął służący i zameldował. że jakiś nieznajomy pragnie mówić z jaśnie panem.

— Przyprowadź go do mnie!

Służący wyszedł i po chwili wprowadził fałszywego Mac Guirea do swego pana.

Bankier starannie zamknął drzwi, podszedł też do Szkota i zapytał cichym, ze wzruszenia drżącym głosem:

— Spełnione?

— Spełnione! — odparł Mac Guire.

— Uczyniłeś ją pan nieszkodliwą, znikła bez śladu?

— Tak jest.

Robertson zbladł jak ściana.

— Udało się panu rzeczywiście sprzątnąć ją ze świata?

— Tak jest!

Przez kilka chwil Robertson nie mógł ani słowa wymówić, potem jednakże wybuchnął:

— Jakie dowody mi pan przywiózł?

Mac Guire przedstawił kilka kawałków ubrania, o których wiedział, że Robertson zna je jako własność swojej ofiary; a jako dowód główny przedłożył bankierowi ów list, jaki on sam pisał do Maryi, prosząc ją o spotkanie i rozmowę

— W jaki sposób pan tego dokonał? — spytał Robertson, a drżenie przebiegło jego całe ciało.

— Szedłem za nią ciągle, aż doszła na zupełnie opuszczone miejsce przy kanale. Było ciemno — lekkie pchnięcie i ajentka zniknęła w falach rzecznych.

Rysy Robertsona jakby skamieniały, kiedy się ozwał:

— Dobrze. Dostaniesz pan nagrodę. Zgłoś się pan po nią jutro.

— Jutro? Nie mogę czekać! Muszę mieć przynajmniej zaliczkę nate pięć tysięcy dolarów, które mi pan obiecał.

— Nie mogę panu dać!

— No, nie bawmy się w ciuciubabkę, mój kochany panie Robertson! Pan wykorzystałeś mnie dla swoich celów. Ja wiem, dlaczego pan sprzątnął tę dziewczynę — sądzi pan, że ja się zabiorę do tak niebezpiecznej sprawy, nie zoryentowawszy się przedtem, dlaczego?

— Co to ma znaczyć?

— Zaczekaj pan chwilkę, to się pan dowiesz!

Krew uderzyła na śmiertelnie blade oblicze Robertsona. Ogarnęła go wściekłość Miałżeby teraz on taki dumny, nieprzystępny mężczyzna, być zmuszonym słuchać i ścierpieć, aby taki rzezimieszek w ten sposób doń przemawiał?

— Co pan sobie właściwie pozwala?! W ten sposób mówić do mnie! — zawołał, wstrzymując się od gniewu i podchodząc tuż do Szkota.

— Na co ja sobie pozwalam? — Mac Guire roześmiał się szyderczo — na co ja sobie wobec pana pozwalam? Hahaha!

— Co to ma znaczyć?

(Dalszy ciąg nastąpi).

Czarne konklawe.

Konklawe — to wybór papieża, białego papieża rzymskiego. Ale jest jeszcze jeden „papież“, czarnym zwany: to generał Jezuitów. A ceremoniał obioru nowego generała przez delegatów wszystkich prowincyj jezuickich, nosi zazwyczaj nazwę „czarnego konklawe“. Z powodu śmierci O Martina odbyło się niedawno takie czarne konklawe w Rzymie, z udziałem delegatów wszystkich prowincyj jezuickich, wśród których znaleźli się i przedstawiciele Galicyi. Wśród kandydatów na generała był Amerykanin, O. Mejer i Włoch O. Freddi. Ale większością głosów wybrany został generałem O. Franciszek Ksawery Wernz.

Nowy naczelnik zakonu Jezusowego (oto jego portret), liczy 64 lat życia, jest z rodu Niemcem z Wirtembergii; wychował się w kolegium jezuickiem w Ditton Hall w Anglii, potem był profesorem w Feldkirchen w Ziemi Przedarulańskiej, a wreszcie rektorem uniwersytetu duchownego papieskiego, t. zw. akademii gregoryańskiej w Rzymie, gdzie wykładał prawo kanoniczne (wydał też własne dzieło z tej dziedziny). Był radcą, czyli konsultorem kilku kongregacyi watykańskich, jak Inkwizycyi, Indeksu i Koncylium.

Opinia publiczna podejrzewa jeszcze po dziś dzień każdorazowego generała Jezuitów o wywieranie potężnego wpływu politycznego. Toteż w elekcyi obecnej Niemca upatrują niektórzy niemieckie przygotowania do konklawe, lub nawet nacisk ze strony niemieckiej. Zapewne, że w głosach, jakie się w tej mierze podniosły, jest tendencyjna przesada; ale nie można się dziwić, że ten fakt, przychodząc po całym szeregu faktów, świadczących o zmianie podstaw, na jakich opierał się stosunek polityczny Kościoła do ludów chrześcijańskich za długiego pontyfikatu Leona XIII, budzi niepokój w tych, na których niekorzyść dokonywa się ta zmiana. Niektórzy tłómaczą wybór O. Wernza wdzięcznością za zmienienie artykułu 2-go ustawy z r. 1872, które z inicyatywy ks. Buelowa otwarło członkom Towarzystwa Jezusowego napowrót wstęp na terytoryum Niemiec. Tłómaczenie to jednak zbyt łatwe, zbijają politycy, zapewniając, że decyzya większości czarnego konklawe, jest konsekwentnym krokiem naprzód w kierunku stopniowego zrywania Kościoła z tradycyą opierania się z wyraźną predylekcyą na szczepach romańskich, tradycyą, która panowała w katolicyzmie przez cały niemal ciąg wieków nowożytnych. Trzykrotne ostentacyjne podróże Wilhelma II do Rzymu, jego pielgrzymka do Palestyny, a wewnątrz Niemiec tendencya rządu oparcia się na centrum, usuwanie zbyt drażniących ustaw z czasów Kulturkampfu, to wszystko razem musiało wpłynąć na zastąpienie dawnej chłodnej rezerwy kuryi rzymskiej wobec Niemiec, naprzód zewnętrzną kurtuazyą, potem równolegle z postępami antyklerykalnej polityki rządu francuskiego — istotnem zbliżeniem.



Czarne konklawe: Nowo wybrany po śmierci O. Martina generałem Jezuitów, Niemiec, rodem z Wirtembergii, O. Franciszek Ksawery Wernz.

Wobec wygnania Jezuitów z Francyi, a otwarcia im na nowo wstępu do Niemiec, wybór Niemca na generała Zakonu Jezusowego ma znaczenie, jakgdyby protestu przeciw rządowi francuskiemu. Katoliccy korespondenci poważnych pism z Rzymu zapewniają, że nie ulega już wątpliwości, iż Watykan będzie teraz szukał poparcia w katolicyźmie niemieckim, jak o tem świadczy przedewszystkiem głośna sprawa misyi kardynała Wincentego Vanutellego, (podajemy dziś jego portret), na świeżo odbyty w Essen kongres katolików niemieckich.

Pojawienie się kardynała Vanutellego w Essen, tłómaczyła prasa francuska jako przyznanie przez Stolicę Apostolską pierwszeństwa Niemcom, przed Francyą. Z tego powodu, kardynał uważał za stosowne, jednemu z dziennikarzy paryskich oświadczyć co następuje:

„Gdy byłem w Tornai, arcybiskup koloński, z którym łączą mnie stosunki przyjaźni, poprosił mnie, bym przybył na kongres do Essen. Nie mogłem mu odmówić i pojechałem na ten kongres za pozwoleniem papieża. Zresztą Ojciec św. nie mógł mi tego zabronić. Wziąłem udział tylko w dwóch posiedzeniach tego kongresu, ale z tego wnosić jeszcze nie należy, by Pius X odwrócił się od Francyi, a zwrócił ku protestanckim Niemcom. Zapewne, że papież boleje nad obecnym konfliktem, ale nie przestał żywić dla Francyi uczuć przyjaznych, podobnie jak ja, skutkiem swojej obecności na zjeździe katolików niemieckich, nie chciałem dać wyrazu nieprzychylności względem Francuzów“.

Oświadczenie treści powyższej ze strony kardynała Vanutellego, nie osłabiło jednak tonu artykułów dziennikarskich, które głoszą stanowczo, że zbyt wiele złożyło się naraz faktów na to, by można wątpić, iż Watykan szuka poparcia wśród katolików niemieckich.

* * *

Pierwszy generał OO. Jezuitów, św. Ignacy Lojola, był, jak wiadomo, Hiszpanem, podobnie drugi z rzędu Layenz i trzeci św. Franciszek Borgias. Następcą jego został Eberhard Klerurian, Belgijczyk, na propozycyę Grzegorza XIII, który widział w tem rzecz ważną, aby także nie Hiszpanie stali na czele zakonu. Piątym generałem był 37-letni Klaudyusz Aqua viva, syn księcia Adrii, Włoch, szóstym Mutius Vitelleschi, również Włoch, Rzymianin, po którym nastąpili Wincenty Caraffa, Alojzy Gottifredi i Franciszek Piccolomini, wszyscy tej samej również narodowości. Dziesiątym generałem był Goswin Hickel z Jüllich nad Renem, Niemiec, jedenastym Włoch, Genueńczyk Paweł Oliva, dwunastym znów Hiszpan, czternastym Włoch, Michał Tamburini, po nim Franciszek Retz z Pragi i trzech Włochów: Ignacy Visconti, Alojzy Centurione i Wawrzyniec



Z ulic Warszawy: Wzmocniony patrol prowadzi z Nowego Świata przez plac św. Aleksandra partyę aresztowanych podczas rewizyi ulicznej.

Rimi. Pod rządami tego ostatniego, 18 go z rzędu generała, nastąpiła, jak wiadomo, kasata zakonu, który istniał dalej tylko w Rosyi, w porozumieniu z papieżem. Generałem na Rosyę został obrany Wiedeńczyk, po nim zaś Tadeusz Brzozowski, Polak, który doczekał się wprawdzie przywrócenia zakonu w roku 1814, lecz niedługo potem umarł. Dwudziestym generałem był Alojzy Hortis z Werony, następcą jego Jan Filip Roothaan z Amsterdamu, dalej Piotr Recka, Belgijczyk, Antoni Anderlady, Szwajcar, aż wreszcie znów powołano Hiszpana, O. Martina, po którym nastąpił teraz O. Wernz, Niemiec. Pius X zatwierdził już wybór nowego „czarnego papieża". Dotąd zwykle nie wybierano generałów Jezuitów z obywateli wielkich mocarstw, trzymających prym w polityce światowej. Tym razem stało się wyjątkowo inaczej, gdy wybór padł na Niemca



Czarne konklawe: Kardynał Wincenty Vanutelli, którego misya na kongres katolików niemieckich w Essen, jednocześnie z wyborem Niemca na generała Jezuitów, zwróciła powszechną uwagę na znamienny zwrot w polityce Watykanu.



Z ulic Warszawy: Najnowsze obostrzenie stanu wojennego na ulicach Warszawy: patrole za barjerkami, które publiczność pod grozą strzałów musi omijać środkiem ulicy w oddaleniu 10 kroków.

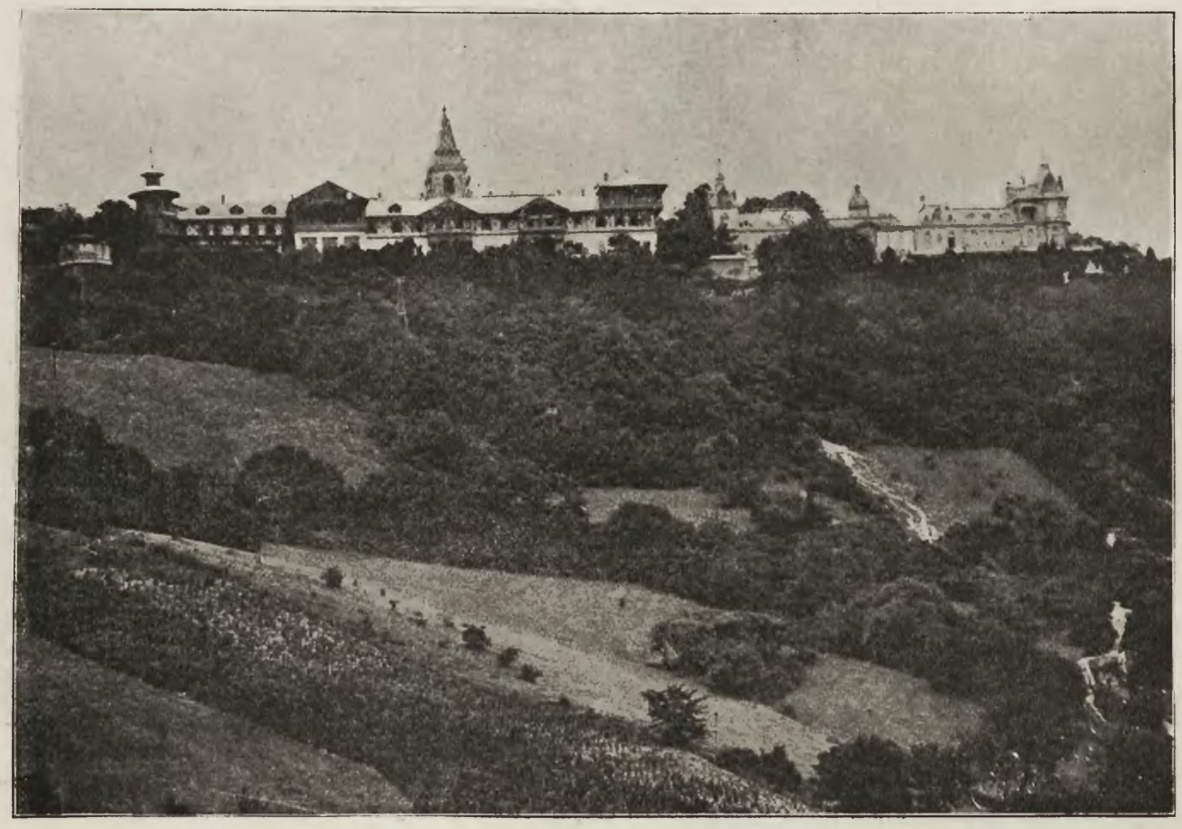
Z ulic Warszawy.

Polska publiczność, biorąc teraz dziennik do ręki, pragnie codzień zaspokoić przedewszystkiem jedno tylko pytanie: co nowego w Warszawie?



Zbójcy we dworze: Napad 18 bandytów na dworek pp. Skrzyńskich w Sułkowcu między Kalwaryą a Grojcem w Królestwie Polskiem; zbójcy wloką dziedziczkę, pastwiąc się nad nią, z powrotem do domu, skąd udało się jej uciec, i zmuszają nieszczęsną do wskazania, gdzie są kosztowności.

A cóż może już być nowego w mieście, nad którem zawisł od tak dawna stan wojenny... Życie publiczne jak gdyby zamarło, zastój dotkliwy na wszystkich polach, a co za tem idzie — nędza! Jeżeli zaś kto ciekaw, jak wyglądają w ostatnich czasach ulice Warszawy, słynnej z paryskiego ruchu — to najlepszą charakterystykę znajdzie na zamieszczonej na str. 12 fotografii. Wzmocniony patrol odprowadza do cyrkułu nową partyę aresztowanych... W takie to obrazki obfituje teraz Warszawa codzień, na wszystkich ulicach i o każdej porze.



Otwarcie kościoła polskiego na Kahlenbergu w Wiedniu: Widok starego kościoła pokamedulskiego na Kahlenbergu który przeszedł na własność polskiego zakonu OO. Zmartwychwstańców i po odnowieniu został w niedzielę otwarty dla użytku Polaków wiedeńskich.

Ale jest nadto w ostatnim czasie jeszcze jedna osobliwość na ulicach Warszawy, coś, czego podróżny nie spotka nigdzie w innem mieście. To patrole za ogrodzeniem. Właśnie na drugiej naszej fotogr. (str. 1) zauważą Czytelnicy patrol stojący za baryerkami, który z rozporządzenia władzy, musi przechodzień pod grozą strzałów omijać na dziesięć kroków, obchodząc w koło po gościńcu...

Otwarcie kościoła polskiego na Kahlenbergu.

Wiedeń, 23 września.

Piękną i podniosłą obchodziliśmy dziś uroczystość narodową na Kahlenbergu. Dziejowy kościół pokamedulski na tej górze, gdzie bohaterski król polski, Jan Sobieski, słuchał mszy św celebrując przy niej, zanim wyruszył z rycerskimi hufcami polskimi na odsiecz Wiednia, otwarty został jako kościół polski, przeszedłszy na własność polskiego zakonu OO. Zmartchwychwstańców, osiadłych w Wiedniu, przy Rennweg, gdzie się znajduje od lat kilku parafialny kościół polski Posiadamy zatem w Wiedniu obecnie dwie polskie świątynie Pańskie.

Dużo trudów i pracy trzeba było zanim zaniedbany i podupadły kościół na Kahlenbergu przeszedł w ręce polskie. Zasługa w tem posłów polskich i wiedeńskich Zmartwychwstańców, przyczem jednak nie należy zapominać o polskich wiedeńskich stowarzyszeniach, które dziejowe obchody na Kahlenbergu już przed laty kilkunastu zapoczątkowały i tym sposobem położyły kamień węgielny pod gmach dziś uwieńczony.

Zmarły we Lwowie radca dworu Pius Twardowski, który długie lata przebywał w Wiedniu, był pierwszym, który po wielu usilnych i mozolnych staraniach, wznowił uroczyste obchody odsieczy Wiednia na Kahlenbergu i który pierwszy zaopiekował się kościołem najzupełniej zaniedbanym. Później podjął jego dzieło osobny komitet, złożony z przedstawicieli polskich wiedeńskich stowarzyszeń, w którym niemałe położyli zasługi pp. Bieńkowski i Korotyński. Za ich staraniem urządzono przy kościele „kaplicę Sobieskiego“, dla której krakowski rzeźbiarz p. Józef Kulesza, ofiarował w darze piękną tablicę pamiątkową, a panna Czajkowska namalowała wcale udatny obraz Matki Boskiej.

Posiadłszy kaplicę, posiedliśmy obecnie cały kościół, który był prywatną własnością dr. Benischa. Rokowania o nabycie kościoła dostały się niestety zawcześnie do dzienników wiedeńskich, a wskutek tego szowinistyczni narodowcy niemieccy podnieśli ogromny krzyk przeciw „polonizowaniu Wiednia“. Wnoszono siarczyste interpelacye w tej sprawie w wiedeńskiej radzie gminnej, lecz przyznać to trzeba, burmistrz wiedeński Lueger postąpił sobie w tej sprawie wyrozumiale i sprawiedliwie. Nie zważając bowiem na protesty radykałów niemieckich, nie czynił ze strony gminy wiedeńskiej trudności przy nabywaniu kościoła kahlenberskiego przez Zmartchwychwstańców.

Dzisiejsza uroczystość wypadła świetnie. Po całodziennym deszczu wczorajszym wypogodziło się niebo. Od wczesnego rana zaczęły drużyny polskie zdążać z rozmaitych dzielnic miasta na Kahlenberg.

Kościół wygląda dziś z gruntu odnowiony, z przybudowaniem, zupełnie inaczej. Sprawia jaknajlepsze wrażenie. O godzinie $^{1}/_{2}$ 11-tej, zapełniła się nawa jego polską publicznością, między którą znajdowało się bardzo wiele wybitnych osobistości. Zjawił się minister dla Galicyi Wojciech hr. Dzieduszycki, prezydyum Koła polskiego (Abrahamowicz, Bobrzyński i Dulęba), na czele dość licznej drużyny posłów polskich.

Generał Zmartwychwstańców przybył na uroczystość umyślnie z Rzymu. Ksiądz przeor Paulinów Rejman w Częstochowie, nadesłał dla kaplicy Sobieskiego piękny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Najprzód odbyło się w kościele poświęcenie tego obrazu, czego dokonał w licznej asystencyi polskiego duchowieństwa, generał Zmartwychwstańców, który też celebrował mszę św. Chór stowarzyszenia „Ojczyzny“ pod kierunkiem polskiego muzyka, profesora Ambrosa, śpiewał podczas mszy oratoryum Kurpińskiego. Kazanie patryotyczne polskie wygłosił wiedeński superior Zmartchwychwstańców, ks. Abakanowski. W kościele śpiewano „Boże coś Polskę“.



Dezercya z policyi warszawskiej: Były komisarz VI Towarowego, cyrkułu policyjnego m. Warszawy rotmistrz Wasilij Wasiljewicz Raztiegajew, który skutkiem ostatnich wypadków w obawie powtórnego zamachu, podał się do dymisyi.

(Do artykułu na str. 3)

Po skończonem nabożeństwie zgromadzili się obecni na wspólny obiad w hotelu na Kahlenbergu. Zasiadło do stołów kilkaset osób.

Pierwszy toast wzniósł Zmartwychwstaniec wiedeński, ks. Kukliński, który w sprawie nabycia

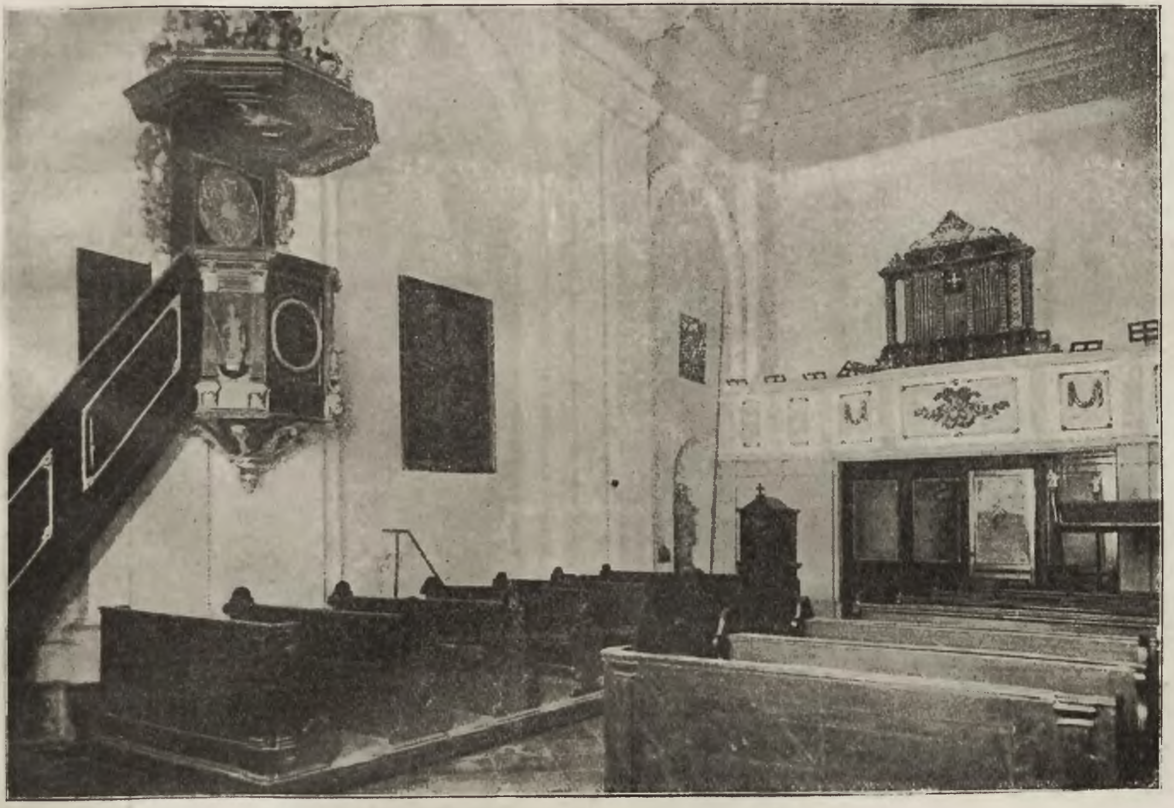


Otwarcie kościoła polskiego na Kahlenbergu w Wiedniu: Wnętrze kaplicy Sobieskiego w polskim kościele OO. Zmartwychwstańców na Kahlenbergu, gdzie Jan III. wyruszając na odsiecz Wiednia, słuchał mszy św; na lewo tablica pamiątkowa ofiarowana przez krakowskiego rzeźbiarza Kuleszę: w ołtarzu obraz M. B. Częstochowskiej pędzla panny Czajkowskiej.

kościoła i jego restauracyi, wielkie położył zasługi, witając obecnego ministra hr. Dieduszyckiego i Koło polskie.

Podziękował mu prezes Koła polskiego poseł Abrahamowicz. Ostatni toast wygłosił poseł dr. Kozłowski.

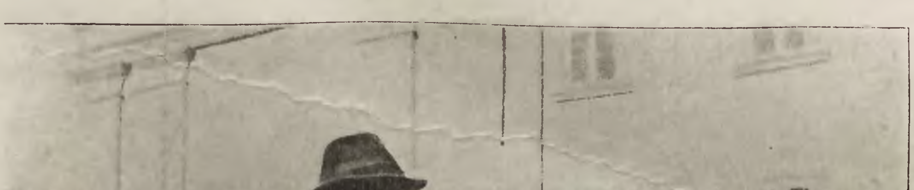
Cała uroczystość miała bardzo piękny przebieg. Pozostanie ona pamiętną wiedeńskim Polakom na długie czasy. *G. S*



Otwarcie kościoła polskiego na Kahlenbergu w Wiedniu: Widok wewnętrzny z chórem i kazalnicą kościoła OO. Zmartwychwstańców na Kahlenbergu, otwartego uroczyście w niedzielę dla użytku kolonii polskiej w Wiedniu.

Nestor dorożkarzy.

Słusznie tak nazwać można sędziwego starca, którego podobiznę na koźle jego jednokonki podajemy dziś Czytelnikom, jako osobliwość nielada. Jest to 82-letni Tomasz Siedziński mający stałe stanowisko na placu Bernardyńskim we Lwowie, skąd publiczność najmująca często jego dorożkę nr. 224, nie zastanawia się nawet, iż powożący nią dzielnie właściciel jest człowiekiem tak poważnego wieku. Siedziński wygląda bowiem jeszcze bardzo czerstwo, a na sympatycznej jego twarzy nawet zmarszczek nie znać, mimo że staruszek pracuje ciężko od świtu do nocy, gorliwie oddany zawodowi dorożkarskiemu. Czytać i pisać nie umie, bo szkół ludowych nie było jeszcze do pospolitego użytku za owych czasów, gdy był dzieckiem (ur. 1824 r.) Zrazu pozostawał w domu rodziców, potem zarobkował u sąsiadów, wreszcie najął się za lokaja do hr. Michała Baworowskiego; po kilku latach został służącym w sklepie Jana Schumana we Lwowie, gdzie przetrwał lat 15; wreszcie służył po kilka lat kolejno u cukierników lwowskich, naprzód u Żółkowskiego, potem u Andryolego. Wraz ze swym chlebodawcą brał Siedziński czynny udział w powstaniu r. 1863, a kiedy powrócił do Lwowa, oddał się zawodowi dorożkarskiemu i już bez przerwy od lat 38 jest „fiakrem" lwowskim Przy ciężkiej pracy musiał wyżywić ze skromnych zarobków liczną rodzinę, to też na czarną godzinę nic sobie nie odłożył. Ale jeszcze mimo 9-go krzyżyka trzyma się staruszek na swym koźle dzielniej od niejednego młodego woźnicy.....



Nestor dorożkarzy: Właściciel jednokonnej dorożki ze stałem stanowiskiem na placu Bernardyńskim we Lwowie, 82 letni. a jeszcze czerstwy woźnica Tomasz Siedziński, niegdyś uczestnik powstania Styczniowego, a od 88 lat zawodowy dorożkarz.

Zbójcy we dworze.

(Do illustracyi na str 13)

Wprawdzie bandyci bez względu na surowość stanu wojennego operują nadal po swojemu w Warszawie, ale bądź co bądź, kronika tych niesłychanie śmiałych napadów rozbójniczych w biały dzień i na głównych ulicach stolicy kraju, zmniejszyła się w dniach ostatnich znacznie.

Napotykając na trudności a nawet na opór w mieście, przenoszą się bandyci warszawscy na wieś, napadając na dwory podmiejskie, do których dostęp dla opryszków jest łatwiejszy i gdzie oni wogóle grasowali już nieraz od roku zazwyczaj bezkarnie.

Świeżo zaszedł wypadek nowego, niezwykle śmiałego napadu zbójców na dwór wiejski o kilka mil drogi od Warszawy położony. Jest to do państwa Skrzyńskich należący majątek Sułkowiec między Kalwaryą a Grojcem Do dworku w godzinach porannych wtargnęło 18 bandytów w wieku od 18 22 lat, jak można było wnosić, a uzbrojonych, jak zwykle, w brauningi. Domagali się oni natychmiastowego otworzenia drzwi do pokojów. Właściciel majątku, p Skrzyński, domyślił się zaraz, o co idzie, porwał dubeltówkę i wystrzelił przez okno. Napastnicy odpowiedzieli gradem strzałów, z których jeden zranił przez okno panią Skrzyńską

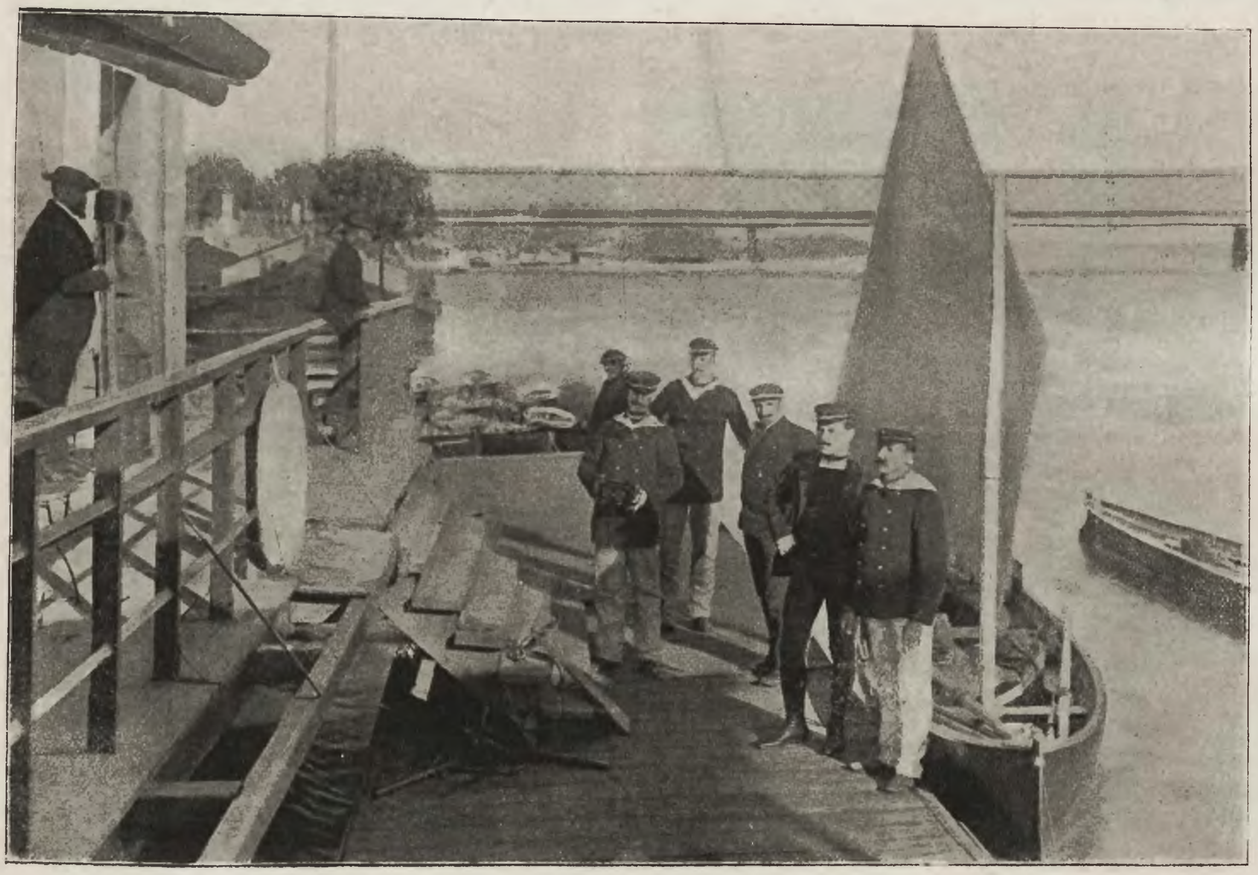
Dalsze dobijanie się gwałtowne do drzwi nic nie pomagało, więc zbójcy wyważyli drzwi i wpadli do środka mieszkania. Służby nie było już, ponieważ rabusie wybrali widocznie umyślnie taką chwilę, kiedy męska służba była nieobecna we dworze. Teraz zaś nie było i kobiet, które uciekły w popłochu w pierwszym momencie napadu.

Bandyci przetrząśli wszystkie pokoje, ale nigdzie nie znaleźli dziedzica ani dziedziczki, okazało się bowiem, że po pierwszych strzałach zdążyli oni oboje uciec w porę tylnem wyjściem przez ogród. Pan Skrzyński pobiegł sam pędem, zapewne wzywać pomocy, gdy tymczasem jego żona już raniona od postrzału, nie mogła zawlec się dalej, więc tylko schroniła się w głębi ogrodu. Tu odnaleźli ją zbójcy i nakazali jej wrócić do domu, żeby pokazała rabusiom, gdzie są schowane kosztowności, pierwsza bowiem dorywcza rewizya dokonana przez bandytów w pokojach, nie przyniosła im pożądanych wyników. Dziedziczka nie mogła o własnych siłach powrócić do dworku, więc zbójcy porwali nieszczęśliwą kobietę za włosy i tak ją powlekli do mieszkania, kopiąc ją jeszcze po drodze, dla przyśpieszenia sprawy, widocznie w obawie nadejścia odsieczy. Na miejscu nie chciała przywleczona do pokojów pani Skrzyńska dać napastnikom żadnych wyjaśnień, gdzie mają szukać rzeczy wartościowych, a wtedy zbójcy strzelili do niej. Ranna w piersi, straciła przytomność, co widząc, rabusie sami przetrząsali w dalszym ciągu wszystkie kąty dopóki nie natrafili na szukane kosztowności. Zabrali je, ale widocznie musieli oni znać się na wartości cennych przedmiotów, skoro przebierając je na miejscu, porzucili nieprawdziwe, a wybrali sobie tylko rzeczy, stanowiące istotną wartość dla jubilerów i złotników Dopadłszy sreber, również poodrzucali platery, których nie opłaciłoby się nosić z sobą. Do kasy ogniotrwałej do-



Łodzią z Warszawy do morza: Na przystani warszawskiej, załoga łodzi klubowej „Syrena" przed odjazdem do Gdańska; siedzą: kapitan Krzyżanowski i H. Skierski (z chorągwią); stoją: W. Wehr i T. Pycz.

bijali się długo, pogięli ją ze wszystkich stron, ale nie powiodło się dostać rabusiom do środka, wobec czego, nie zdobywszy pieniędzy, dali już za wygraną i zbiegli w porę, objuczeni tłumokami, pełnemi złupionych kosztowności. Pogoń wysłana za zbójcami na nic się nie zdała. Nie przyłapano nikogo



Łodzią z Warszawy do morza: Przed odjazdem łodzi „Syrena“ do Gdańska: w przystani Tow. wioślarskiego na brzegu warszawskim, na pomoście stoją, licząc od masztu: H. Skierski, W. Wehr, kap. E. Krzyżanowski, T. Pycz i Haubold.

Kiedy pan Skrzyński powrócił do domu, już ich nie zastał, a natomiast dowiedział się teraz dopiero, że żona jego wpadła w ręce bandytów i do rannej ciężko musiał natychmiast zawezwać kilku lekarzy z Warszawy. Stwierdzili oni u chorej przestrzelenie piersi i naruszenie wątroby.

Łodzią z Warszawy do morza.

Przed kilku dniami z przystani warszawskiego Tow. wioślarskiego wypłynęła łódź klubowa „Syrena“, która z Warszawy popłynie do Gdańska, w celach poznania warunków żeglugi i stosunków handlowych na Wiśle. Osadę „Syreny“ składają pp S. Barcikowski, H Skierski Haubold, T Pycz i W. Wehr, pod sterem kapitana marynarki Edmunda Krzyżanowskiego Łódź ta dotrze do samego morza. a pan Krzyżanowski jako kierownik wyprawy, zaopatrzył się w listy polecające do rodaków w Toruniu i Gdańsku i w świadectwa marynarskie, dające mu przywileje należne kapitanowi marynarki. Cała ta wycieczka w celach dokonania ścisłych studyów, potrwa parę tygodni.

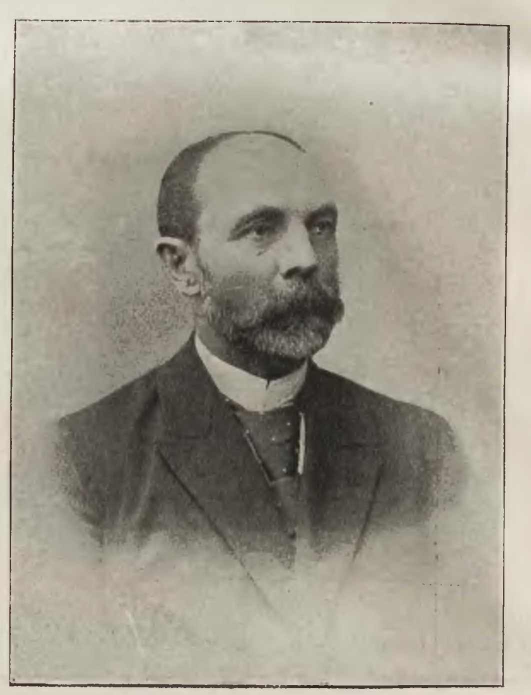
Korespondent nasz warszawski skorzystał z chwili odjazdu „Syreny“ i porobił dla „Now. Illustrowanych“ zdjęcia, które tu dziś zamieszczamy.

Włamywacze zakordonowi w Krakowie.

Publiczność krakowską zaniepokoiły w najwyższym stopniu wypadki włamania się z niezwykłą pomysłowością do kas ogniotrwałych, jakie zdarzyły się przed kilku dniami, noc po nocy w środku miasta. Bandyci operujący narzędziami nieznanemi tutejszej policyi, a więc niewątpliwie rózbójnicy doświadczeni, którzy wyemigrowali z Królestwa i przybyli do nas na gościnne występy, napadli wśród ciszy i pustki nocnej na kilka sklepów, a także dobrali się wytrychami do administracyi „Naprzodu“, gdzie zniszczywszy kasę ogniotrwałą, zabrali jej zawartość. Ale największym łupem i zadziwiającą śmiałością, największą sensacyę wzbudziło włamanie się do sklepu w Rynku na Linii A-B w nocy z niedzieli na poniedziałek. Ofiarą bandytów padł handel kolonialny Marcelego Dutkiewicza p. f. J F Fischer. Oto szczegóły kradzieży: Dysponent handlu, p Sowiński, przyszedłszy rano o godzinie 7 do sklepu poczuł silny swąd i zobaczył, że podręczna kasa amerykańska, automatyczna, stojąca na ladzie, jest naruszoną, a zawartość jej, około 50 koron drobną monetą, skradziono. W tej samej chwili dojrzał, że wielka kasa wertheimowska, stojąca przy ścianie, ma wyważoną frontową ścianę, a z wnętrza kasy dobywa się swąd ze spalonych worków od pieniędzy i bucha gorąco od rozpalonych jeszcze blach kasy. O tak widocznym rabunku p. Sowiński zawiadomił swego pryncypała p. Dutkiewicza, który przybył zaraz do sklepu wraz z policyą.

Wielka kasa żelazna, opancerzona, jednej z najlepszych firm Teodora Wiesego & Comp., wagi 350 kilogramów, przedstawiała widok zwykłej skrzynki drewnianej, od którejby zamki odłupano scyzorykiem, tak „fachową“ była „robota“ nocnych gości. Mianowicie frontowa, żelazna ściana drzwi głównych kasy, została wyrąbana dłutem, odgięta w bok, jakby była z blachy cynowej, następnie złodzieje rozpaliwszy do białości nity i śruby u zamków, odjęli je z łatwością, przepiłowali żelazne drzwiczki t. zw. tresoru, z którego wnętrza gotówkę zabrali przeszło 3 000 koron. Oprócz wspomnianej już gotówki 50 koron z automatycznej kasy podręcznej, złodzieje zabrali wiele towarów, jak herbatę, rumy, koniaki, czekoladę, pierniki, sardynki i tp., czem, jak świadczyły ślady na podłodze, raczyli się w sklepie obficie Obrabowawszy sklep, odeszli tą samą drogą, którą przyszli, t. j. przez zakratowane okno od podwórza Krata w tem oknie jest na tyle szeroka, że szczupły mężczyzna może się przez nią przecisnąć

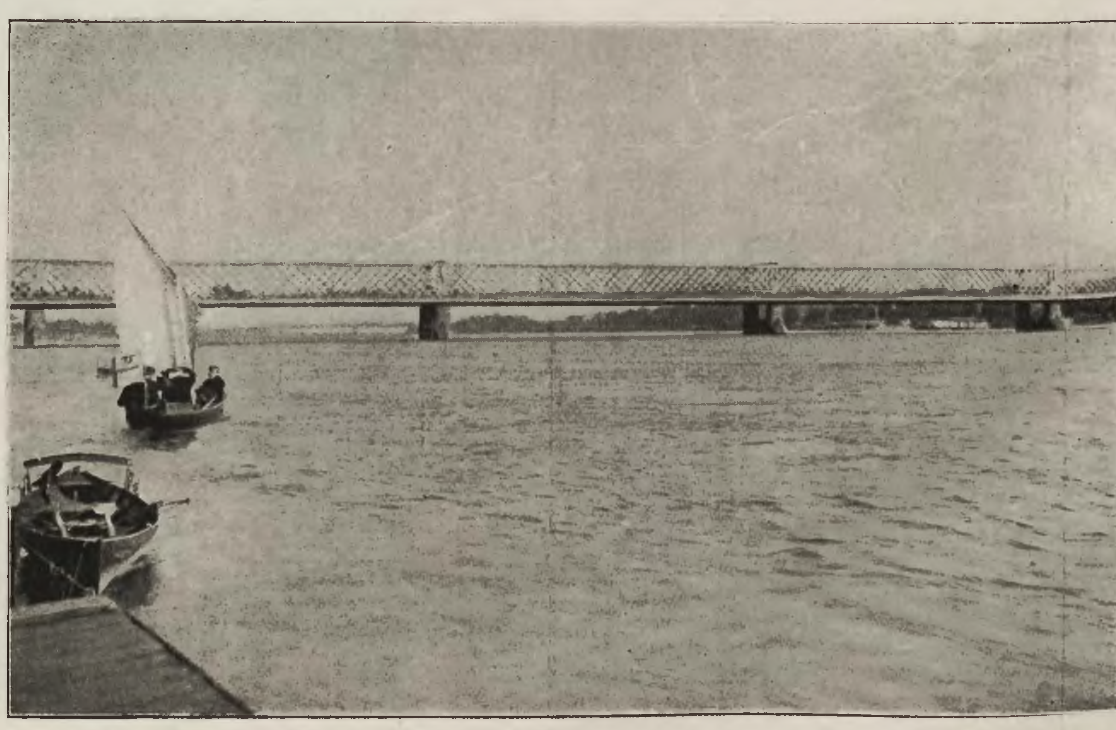
Zniszczoną kasę ogniotrwałą w sklepie M. Dutkiewicza sfotografowaliśmy umyślnie, jak widzą Czytelnicy na załączonej rycinie na następnej stronicy. Policya zabrała się energicznie do ścigania rabusiów i spisała się znakomicie. Już bowiem wieczorem tego samego dnia udało się jednemu z najzdolniejszych ajentów krakowskiej policyi, p. Józefowi Mohrowi przyłapać dwóch sprawców tej niezwykle śmiałej kradzieży. Schwytano mianowicie Henryka Smólskiego i Józefa Szumińskiego, głównych sprawców rabunku. Znaleziono przy nich znaczną gotówkę, pochodzącą z kradzieży, oraz mnóstwo przyborów do włamywania, między nimi też olbrzymie nożyce do cięcia blachy w kasach wertheimowskich. Podnieść należy że p. Mohr z narażeniem własnego życia aresztował obydwóch, każdej chwili bowiem nawet podczas aresztowania mógł go był który ze złoczyńców dźgnąć nożycami w brzuch i zranić go śmiertelnie, a nawet za-



Zgon powstańca: Śp. Aleksander Domaszewicz z Wołmontowicz na Żmudzi, powstaniec z oddziału księdza Mackiewicza w 1863 r., inżynier na emigracyi, wreszcie przemysłowiec we Lwowie, gdzie w tych dniach zmarł w 64 r. życia. (Do artykułu na str. 3).

bić. Jedynie nadzwyczajnej przytomności umysłu zawdzięcza, że powierzoną mu sprawę doprowadził z pomyślnym rezultatem do końca.

Obaj bandyci pochodzą z Królestwa Polskiego. 24 letni Henryk Smólski jest tokarzem przy fabryce wyrobów żelaznych, rodem z Wysokiego w gub. Kieleckiej; 22 letni Józef Szumiński, kucharz z Warszawy, w ostatnich miesiącach przebywając już w Krakowie, trudnił się podobno tapicerstwem. Obaj mieszkali na Półwsiu Zwierzynieckiem u Makowskiego, gdzie przy rewizyi znaleziono dużo towarów, pochodzących z kradzieży w sklepach Spiry, Dutkiewicza itp oraz narzędzia złodziejskie. Ajent Mohr aresztował ich w szynku Weindlinga przy ul. Lubicz, gdzie pili piwo, w nowych eleganckich garniturach.



Łodzią z Warszawy do morza: Z przystani Tow. wioślarskiego na brzegu warszawskim odjeżdża do Gdańska łódź „Syrena“, która w celach poznania warunków żeglugi dotrze Wisłą aż do morza.

Aresztowani, obaj bandyci odstawieni zostali „pod telegraf“. Jeden z nich, Szumiński — fotografie obu załączamy obok — widocznie poddał się losowi, drugi jednak, Smólski, widocznie herszt bandy, nie stracił odwagi nawet pod kluczem i we wtorek rano uciekł przez zakratowane okno z „pod telegrafu“. Odważył pręty kraty w oknie na pierwszem piętrze od strony ul Podzamcze, przecisnął się przez nie i skoczył na ziemię, poczem zaczął uciekać. W pogoń za nim puścili się ajenci pp J. Karcz i Hradecki, którzy go dopadli na Rybakach i mimo rozpaczliwej jego obrony aresztowali. Czwarta illustracya nasza przedstawia okno. przez które uciekł Smólski. piąta zaś grupę ajentów policyjnych, z p. Mohrem pośrodku, których energii i sprytowi zawdzięczyć należy uwolnienie Krakowa od zuchwałych, a sprytnych rzezimieszków.

Pochwycenie dwóch głównych sprawców rabunku przyczyni się zapewne do uspokojenia opinii publicznej w mieście. Inni wspólnicy, których obaj aresztowani prawdopodobnie mieli, nie zdołają długo ukrywać się na wolności. Policya kra-



Fot. aparatem redakcyjnym W Lis.
Włamywacze zakordonowi w Krakowie: Wyśledzeni przez policyę, główni sprawcy głośnej kradzieży z włamaniem w handlu Fischera na A-B w Rynku krakowskim: 22-letni Józef Szumiński, kucharz z Warszawy.

kowska złożyła tym razem świetny dowód. że mieszkańcy Krakowa mogą z zupełnym spokojem powierzyć w jej ręce swe mienie i życie.

Wogóle zaznaczyć musimy. że obawy rozrostu bandytyzmu w Galicyi są conajmniej przedwczesne. Władze nasze zabrały się energicznie do tępienia przykładów bandyckich, tak, że u nas bandytyzm podatnego dla siebie gruntu nie znajdzie.

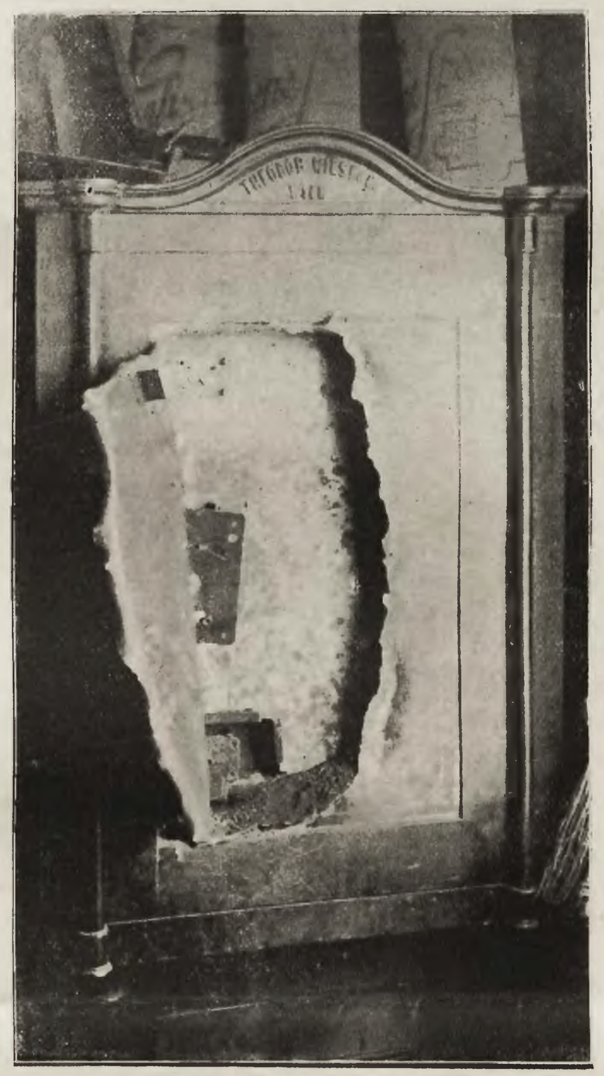
„Miliony w uśpieniu“.

(Do illustracyj na stronie 9).

Słynna Teresa Humbert opuściła więzienie w Rennes i odrazu stała się znowu głośną; opowiada bowiem, że czekają na nią miliony, które przez czas jej uwięzienia „były w uśpieniu“ i że teraz przyszła chwila, w której ona je obudzi i powoła do życia. Wiadomość o swem ułaskawieniu przyjęła Humbertowa bez zdziwienia. Żegnała się bardzo serdecznie z naczelnikiem więzienia, mówiąc:

— Dziękuję panu bardzo za wszystko. Idę przygotowywać się do odjazdu. Mam nadzieję, że pan zachowa o mnie miłe wspomnienie, bo nie byłam chyba nudną pensyonarką.

Przebrawszy się z odzieży więziennej w miejskie suknie i odebrawszy kwotę 100 franków, którą miała w depozycie, o godz. 11 „wielka Teresa“ opuściła więzienie w powozie, który wypuszczono tylną bramą, gdyż przed główną stały setki ciekawych, chcących zobaczyć sławną panią Humbert. Dojechawszy końmi do stacyi Noyal sur Vi-



Fotografował W. Lis.
Włamywacze zakordonowi w Krakowie: Głośna sprawa kradzieży w handlu Dutkiewicza pod firmą J. F. Fischer na linii A-B. w Rynku krakowskim; widok wielkiej kasy żelaznej opancerzonej, przez włamywaczy zniszczonej, z której Smólski i Szumiński zabrali 3.000 koron.

laine, najbliższej od Rennes na linii do Paryża, Humbertowa kupiła bilet I klasy do Paryża i w pociągu zaraz dała posłuchanie reporterom.

Otóż miliony ich egzystują — zapewniała — równie jak i państwo Crawford, a ich spadkobierczyni, pani Humbert, choć nie chce wymienić ich adresu, trafi do nich, choćby z zamkniętemi oczami. Wypytywana o swój pobyt w więzieniu w Rennes, Humbertowa opowiadała bezładnie, mieszając rzeczy poważne z faktami drobnymi. Nie opuściła jej też pewna kokieterya:

— Prawda, że nie wyglądam zbyt staro? W każdym razie, jeślibym się panom wydała zwiędniętą i brzydką, nie mówcie o tem, bo sprawiłoby to przyjemność pewnym ludziom. Ah, dużo cierpiałam! Wszak przez trzy lata uwięzienia, dwa spędziłam w infirmeryi, siedząc, albo leżąc. Dlatego utyłam. Ale teraz postaram się zeszczupleć. Ah, trzeba było dużej siły woli, by się nie poddać cierpieniom, ale zobaczycie, że jeszcze wyjdę ze wszystkiego zwycięsko i odbiję sobie przecierpiane nudy. Mówili, że byłam męczennicą. To prawda. Spójrzcie panowie na moją skórę. Myję się od trzech lat mydłem marsylijskiem i cerę zachowałam świeżą. A zęby, których przez cały ten czas myć nie mogłam, mają białość nieskazitelną; nie brakuje mi żadnego.

Rozmowę zakończyła zapowiedzią, miłą dla uszu ciekawych sprawozdawców:

— Pozwoliliście panowie wypowiedzieć mi się, może nadużyłam cierpliwości panów. Ale bądźcie uprzejmi i litościwi. Zawiadomię panów później, zaproszę do siebie i razem będziemy liczyć miliony.

Na zapytanie, z jakich środków utrzymywać się będzie, odpowiedziała:

— Crawfordowie zajmą się memi potrzebami. Nie jestem w kłopocie. Przyjadę do Paryża z 10 frankami, które mi zostaną z odebranej sumy 100

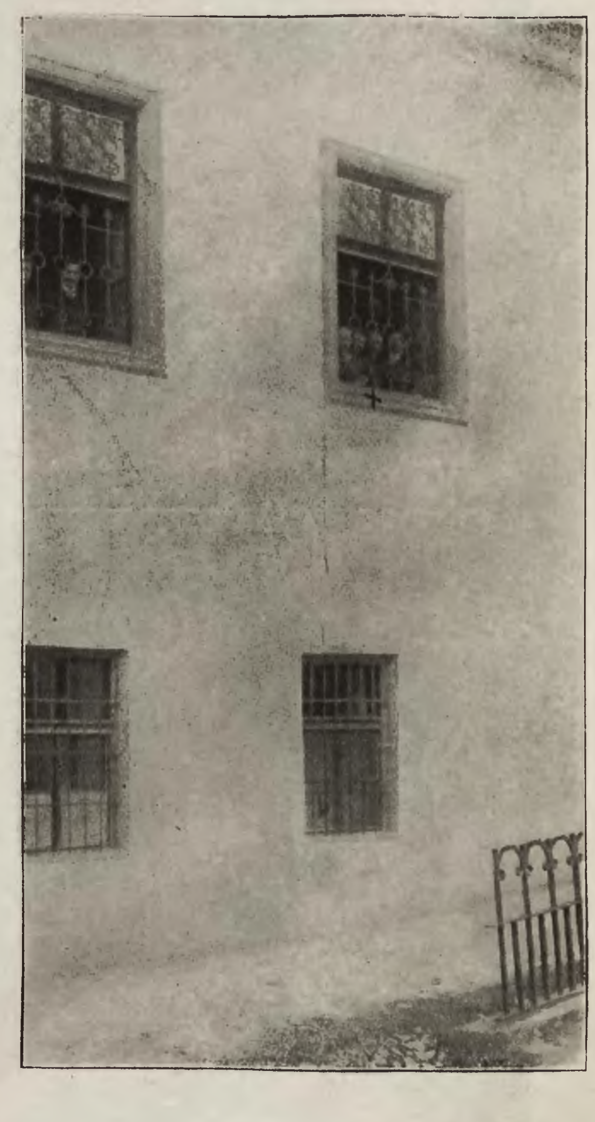


Fot. W. Lis.
Włamywacze zakordonowi w Krakowie: Główni sprawcy głośnej kradzieży z włamaniem w handlu Fischera na A-B. w Rynku krakowskim: 24-letni Henryk Smólski, z pod Kielc, który po aresztowaniu go uciekł z urzędu pod „telegrafem“, wyskoczywszy oknem, został jednak przychwycony na Rybakach.

franków. To wystarczy mi na jeden dzień na hotel.

— A później z czego pani będzie żyła?

— O, będę miała pieniądze. Jestem tego pewna.



Fot. W. Lis.
Włamywacze zakordonowi w Krakowie: Okno (×), z którego skoczył z wysokości 8 i pół metra, uciekając z biur aresztów policyjnych „pod telegrafem“, Smólski, główny sprawca kradzieży w sklepie Fischera.



Włamywacze zakordonowi w Krakowie: Głośna sprawa kradzieży z włamaniem w handlu J. F. Fischera na A-B w Rynku krakowskim: trzej inspektorowie policyi, którym zawdzięczają Krakowianie wyśledzenie natychmiastowe niebezpiecznych bandytów: w środku Józef Mohr, który Smólskiego i Szumińskiego aresztował w szynku Weindlinga; pierwszy od lewej ku prawej, Hradecki i trzeci, Jakób Karcz, którzy przyłapali powtórnie Smólskiego na Rybakach.

Wreszcie zakończyła interwiew słowami:

— Za chwilę będę mogła podnieść czoło i bez rumieńca ucałować moją córkę, męża i teściową, którzy uważają mnie dzisiaj za sprawczynię nieszczęścia.

Wizyta arcypasterska.

W pierwszej połowie bm. odbył ks. arcybiskup lwowski, dr Józef Bilczewski podróż wizytacyjną w powiecie horodeńskim. Rozpoczął ją od Chocimierza, a ukończył ją na parafii łacińskiej w Horodence. Towarzyszli mu ks. prałat Lubomęski, dziekan Fiszer i kapelan arcybiskupi ks. Nowowiejski. Na granicy powiatu powitał dostojnego arcypasterza poseł na Sejm krajowy i znany działacz na polu społecznem, marszałek powiatowy Antoni Theodorowicz, który mu już stale towarzyszył podczas wizytacyi kanonicznej.

Podróż ks. Bilczewskiego była istnym pochodem tryumfalnym, albowiem obywatelstwo horodeńskie wraz z ludem polskim, tam na kresach od dawna osiadłym, wysilali się formalnie w okazywaniu czci dla swego arcypasterza.

* * *

Ks. arcybiskup zwiedzał nie tylko parafie, ale i wszystkie miejscowości, gdzie są kapliczki i kościółki, do parafii łacińskiej należące, wygłaszał do licznie gromadzących się wiernych po kilka nauk dziennie, katechizował, udzielał sakramentu bierzmowania. Zwiedzał też wszystkie, o jakich się tylko dowiedział, instytucye polskie, jak ochronki, bursy, czytelnie, sokolnie i tp., nie szczędząc słów zachęty do wytrwałej pracy w duchu narodowym na kresach. W naukach swych zaznaczał wszędzie cześć dla obrządku grecko-katolickiego i nawoływał Polaków i Rusinów do zgody.

* * *

Dnia 8 bm. po poświęceniu kościółka i ochronki, fundowanych w Woronowie przez tamtejszą właści-



Wizyta arcypasterska: Arcybiskup lwowski, ks. dr. Józef Bilczewski po wizytacyi kanonicznej powiatu horodeńskiego, odjeżdża z Horodenki do Lwowa; uroczyste pożegnanie arcypasterza na peronie dworca kolejowego, przez przedstawicieli władz miejscowych z posłem A. Theodorowiczem, jako marszałkiem powiatu; ks. Bilczewski stoi na stopniach wagonu.
(Fot. dla „Now. Illustr“ O. Morawetz w Horodence).

cielkę dóbr R. Zacharyasiewiczową, przybył wieczorem do Horodenki, gdzie z małemi przerwami zabawił do 13 bm. W Horodence zamieszkał dostojny arcypasterz u miejscowego łacińskiego proboszcza ks. Edwarda Bladowskiego, wiceprezesa Rady powiatowej. Dnia 10 bm. odbył się na cześć arcybiskupa u ks. Bladowskiego obiad, w którym wzięło udział przeszło 80 osób z miasta i okolicy.

* * *

Ks. arcybiskup wyjechał z Horodenki dnia 13 bm. rano. Na dworcu żegnali go przedstawiciele władz miejscowych, marszałek pow. Theodorowicz, Sokoli i tłumy wiernych. Rycina nasza przedstawia właśnie moment, kiedy ks. arcybiskup wsiada do wagonu na dworcu w Horodence. Dostojny pasterz stoi na stopniach wagonu, a wokół niego żegnający go wierni i przedstawiciele władz.

„Mateczka“

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

24 (Ciąg dalszy).

CZĘŚĆ DRUGA.

Powoli zapadał zmrok wieczorny, odkąd za czarną ławę lasów stoczyła się jaskrawa tarcza słoneczna. I naraz fale Dniepru, po których przez godzinę pływało złoto roztopione — pociemniały i sposępniały...

Wśród ciszy wieczornej ozwały się dźwięki gitary, poczem nad opary wodne wzbił się piękny śpiew męski. Echo niosło daleko pieśń żałosną, której ton elegijny wywoływał jeszcze silniejsze wrażenie, skutkiem nastroju smętnego wieczoru nad Dnieprem.

Śpiew zamilkł, a wtedy na rzece nieopodal brzegu odezwał się głos kobiecy:

— Wiesz ty co, Felek, że tak bardzo, jak te rzewne piosenki ruskie w tych stronach, nie przypadła mi do gustu żadna pieśń ludowa, ani u nas w Kongresówce, ani tam, u twego wuja, kiedy mieszkałam w Prusach Królewskich...

— No, toś ciotka jak widzę, całkiem zmoskwiczała pod tym Smoleńskiem... Co do mnie, to zaśpiewać sobie przy gitarze nowopoznaną piosenkę, owszem, mogę chętnie; ale żeby powiedzieć, jakoby te ruskie dumy z nad porohów i limanów dnieprowych miały być piękniejsze od naszego kujawiaka, krakowiaczka lub mazura.... to chyba nigdy, ciotko! Serce nie sługa...

— Skoro mi ty o sercu gadasz, to ja ci je zaraz zniewolę, mój chłopcze.... Śpiewajno raz je szcze tę samą dumkę...

— Ee, wolę już co innego, bo mi ta pieśń w głosie nie leży....

— Więc tego kozaczka, coś próbował wygrywać po obiedzie, dobrze Felek?

— Cóż znowu, samaś mi ciotka wspomniała, że to ulubiona melodya generała...

— A zatem cóż z tego, że on lubi tę nutę....

— Więc ja nie będę jej znosił!

— Oho... zazdrosnyś o generała! Dajże pokój, przecież on o tyle starszy od ciebie, nie ma porównania....

— Ja też wypraszam sobie, żebyś ciotka miała robić jakie porównanie między nim a moją..

Towarzyszka zamknęła mu usta gorącym pocałunkiem.

Rozmowa ustała. Łódź powoli szybowała po rzece o zmroku, dopóki z lasów jodłowych nie wypłynął na ciemne niebo księżyc pełny w kształcie ogromnej kuli pomarańczowej.

Nowe blaski, odmienne niż o słońca zachodzie, osrebrzyły fale dnieprowe, a czółno jeszcze krążyło w pobliżu brzegów po wodzie.

Niekiedy szepty poniosło echo z łodzi ku krzakom nadbrzeżnym, to znowu gitara zadźwięczała na chwilę i milkła....

. . . .

Był wieczór już późny, gdy łódź dobiła wreszcie do brzegu i wyskoczył z niej na schody kamienne młody mężczyzna, pełen sił i zdrowia, rosły, pięknie zbudowany.

Podał rękę kobiecie, pomagając jej wysiąść z czółna, poczem przez gaj brzóz białych, które jak widma wyglądały teraz nocą przy blaskach miesięcznych — przeszli do wspaniałego parku.

On miał na krótko przystrzyżonych włosach małą czapeczkę z daszkiem, a przez plecy na szerokiej barwnej wstędze przewieszoną gitarę; kurtka, buty wysokie, jak przystało na młodego agronoma, praktykującego w wielkim majątku.

Młodzieniec ten dwudziestoparoletni, z czarnym wąsikiem pod kształtnym nosem, a nad stosunkowo grubą wargą — wiódł pod ramię szarmancko, znacznie niższą od siebie kobietę, starszą od niego zapewne, której dokładnego wieku nie dałoby się wyczytać z bladej twarzy, ani pięknej, ani brzydkiej, ale dość pospolitej. Miała na głowie dużą budkę słomkową, zataczającą ogromny łuk nad grzywką, a związaną pod brodą wstęgą niebieską, której kokarda suta zwisała pretensyonalnie na piersiach. Suknia jej granatowa, wolna, powłóczysta, była w pasie lekko ściągnięta również wstążką niebieską.

Idąc przez ścieżki ogrodowe, żwirem wysypane, unosiła jedną ręką tren sukni, drugą zaś, oparta o ramię towarzysza, bawiła się wachlarzem, którym co chwila drażniła po brodzie młodzieńca, śmiejąc się, jak pełen pustoty podlotek.

. . . .

Weszli na taras pałacyku, olśniewającego na pozór bogactwem, ale wcale nie gustownego. Stylu tej budowli trudno było by się doszukać w mnóstwie szczegółów, to barok przypominających, to znów bizantynizmem zatrącających.

Na tarasie zatrzymali się oboje i obrócili w stronę parku, który poniżej szerokich schodów kamiennych zaczynał staczać się coraz niżej aż do samego Dniepru.

Patrzeli przed siebie przez chwilę w milczeniu.

Przed nimi roztaczał się widok bajeczny, skąpany w poświacie miesięcznej.

Blaski księżyca przystroiły fantastycznie amfiteatr parku, zakończony srebrem przetykaną wstęgą Dniepru, poza którą czerniły się bory na drugim brzegu rzeki.

. . . .

— Cudowny stąd widok w noce księżycowe — odezwał się młodzieniec wśród ciszy, mąconej zaledwie szmerem wodotrysków, strzelających w górę z pośród wzorzystych kwietników u stóp tarasu.

— Tak Felku.. zapewne.. i jabym przyznawała chętnie, że tu jest pięknie, gdyby nie było tak nudno... Wolałabym pojechać na parę dni do Smoleńska, zabawilibyśmy się we dwójkę inaczej, niżli tu na wsi... Gdybym była pewna, że generał nie prędko przyjedzie, namówiłabym cię do tej wycieczki..

— Ja nie od tego....

— To chodźmy do domu zobaczyć, czy z poczty nie ma jakiej wiadomości nowej od generała...

Przez drzwi szklane, otwarte — jako, że noc była ciepła — przeszli z tarasu do salonu, a stamtąd do sali jadalnej, gdzie nakryte było do stołu i służba czekała już ich powrotu tylko, by podawać wieczerzę...

Młody człowiek zdjął z ramienia gitarę i położył ją na krześle pod ścianą, poczem zaraz zasiadł do stołu, głód uczuwszy na widok talerzy.

Jego zaś towarzyszka zadzwoniła gwałtownie, na co w tej chwili zjawiła się ładna dziewoja w pokoju.

— Czy przed wieczorem jeździł kto na pocztę — po rosyjsku zapytała wchodzącej.

— Listy i gazety leżą w pokoju pani gospodyni — odparła ruska krasawica -- czy przynieść mam tutaj?

— Pytasz jeszcze... przynoś i podawaj kolacyę..

— Kiedy ja się tak świetnie mówić po rosyjsku nauczę, jak ciotka — rzekł młodzieniec po wyjściu służącej.

— Ja od dziecinnych lat umiem dobrze po rusku, bo pewien czas spędziłam, małą będąc dziewczynką, w domu na wskroś rosyjskim, chociaż w Królestwie.

— A cóżeś tam ciotka robiła małą dziewczynką?

— Z matką byłam tam, ona gospodarzyła u pewnego bogatego Rosyanina.... O, ja nawet bardzo lubię Moskali... Chętnie tutaj teraz przyjechałam, gdy musiałam z Prus wyjeżdżać.

Wśród tego dziewczyna przyniosła paczkę z poczty. Było kilka gazet illustrowanych z Paryża i z Petersburga, przeważnie żurnale mód, oraz dzienniki z Moskwy, a nadto kilkanaście listów. Oboje śpiesznie zaczęli przeglądać.

— Do mnie nic nie ma, uważa ciotka, ani jednego listu, a myślałem, że będzie dziś od wuja Edwarda.

— Ee, co tam wuj ma do ciebie pisać, skoro posłał cię tutaj pod moją opiekę... Nie potrzebuje troszczyć się już o to, co się z tobą dzieje...

— A to chyba będzie list od generała..

— Tak, tak... jego pismo na adresie... Masz racyę, to z Petersburga...

Co mówiąc, rozerwała ruchem niespokojnym list na grubym papierze sinego koloru i zaczęła czytać niecierpliwie.

— Przyjedzie...

— Kiedy?... Może nie rychło jeszcze...

— Zaraz, zaraz... nie mogę wyrozumieć... Ale pomyślno, wszak ten list powinienby był przyjść do nas jeszcze wczoraj...

— Istotnie, sądząc według daty..

— Wyobraź sobie, że generał będzie tu już o świcie...

— Jakto, jutro już...

— Nawet nie jutro, a tej nocy jeszcze, skoro świt, ponieważ ten pociąg przychodzi na stacyę około trzeciej, więc przed czwartą końmi będzie już tutaj w pałacu...

Wśród tego podano do stołu i oboje zasiedli do kolacyi.

— Przyznam się ciotce — mówił młody człowiek jedząc z apetytem, że wolałbym nie mieć przyjemności poznania się z tym generałem.. Jakoś mi tu było swobodniej, póki gospodarz nie siedział na miejscu...

— To też on tu długo nie posiedzi, bądź spokojny... Po kilku dniach powróci do Petersburga.

— W każdym razie mam trochę tremy przed jego przyjazdem.

— Śmiej się z tego, Felku. Jutro zmienisz zdanie. Wyobrażasz sobie zapewne, że on będzie oglądał gospodarstwo... Ani mu to w głowie zarówno wtedy, gdy w Petersburgu siedzi, jak i wtedy, gdy zagości na chwilę u siebie w majątku.

— Więc pocóż przyjeżdża?

— Zabawić się.

— Tutaj? Przecież lepiej bawić się może w stolicy...

— Więc ty myślisz, że generał sam na wieś przyjedzie... Ha ha ha! Zobaczysz ile to ja po niego wyślę na stacyę powozów. Całą czeredę z sobą przywiezie... Aktoreczki, baletniczki cyrkówki... A z tem wszystkiem kilkanaście koszów szampana, kawioru, ostryg i Bóg nie wie co za specyałów..

Młodzieniec szeroko oczy otworzył i słuchał ze zdumieniem.

Wuj przysłał go tutaj jako elewa agronomicznego, ale jak dotychczas, tygodnie całe mijały mu na wesołej zabawie lub na przyjemnem próżniactwie i gospodarstwem nie zaczął się jeszcze pan Felicyan zajmować, nawet majątku generała nie miał okazyi poznać gruntownie.

Więc w pierwszej chwili, gdy się dowiedział, że właściciel przyjedzie z Petersburga, doznał czegoś w rodzaju wyrzutów sumienia i obawiał się owego spotkania z generałem.

Aż tu naraz słyszy, że gospodarz przybywa w licznem a wesołem towarzystwie na to jedynie, by się zabawić szeroko w swoim pałacyku wiejskim.

Odetchnął i już niecierpliwie czekał chwili, gdy ujrzy owo widowisko.

Gospodyni domu, rezydująca w pałacu generała, w której Czytelnik domyślił się zapewne siostry Felicyi, jakkolwiek zrzuciła z siebie habit tercyarki, wstała od stołu po kolacyi i zaczęła wydawać liczne dyspozycye z powodu spodziewanego nad ranem zjazdu.

Nikt się już spać nie kładł w domu. Wszyscy zajęli się przygotowaniami na powitanie dziedzica.

O świcie wyjechało kilka powozów na stacyę, a za nimi jeszcze bryczka ładowna na kosze i kufry.

Pociąg przyjechał punktualnie, ale nie przywiózł ani generała, ani jego towarzystwa.

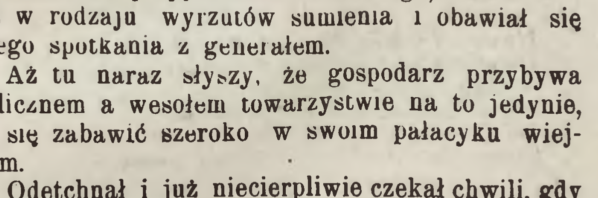
Powozy powróciły do domu, nie przywożąc z kolei nikogo ku wielkiemu rozczarowaniu i zmartwieniu wszystkich.

Następnego pociągu nie można się było spodziewać wcześniej, jak dopiero koło wieczora.

Wobec tego położono się spać rano i nikt nie oczekiwał gości, dopókiby jaka wiadomość nowa nie nadeszła z Petersburga.

Wtem po południu rumor zrobił się wielki na dziedzińcu pałacowym.

(Ciąg dalszy nastąpi).





Wybryk przyrody: Niezwykły okaz kury domowej, która posiada dwie pary nóg (własność p. Sozańskiego we Lwowie).

Wybryk przyrody.

Zdarzają się w przyrodzie dość często wypadki, iż niektóre zwierzęta, a nawet i ludzie, przychodzą na świat z rozmaitemi, czasem bardzo oryginalnemi, ułomnościami.

Niezwykły tego rodzaju wybryk zdarzył się niedawno we Lwowie. Oto krawiec p. Sozański posiada kurę, obdarzoną dwiema parami nóg. Jedna para jest rozwiniętą zupełnie normalnie, i kura używa jej do chodu. Druga zaś para jest zmarniała, ale naturalnej wielkości. Jedna z tych nóg rośnie w tył, druga ku przodowi, a obie nasadę mają pod lewem skrzydłem Mimo tej ułomności, kura p. Sozańskiego rozwija się zresztą zupełnie normalnie i apetyt posiada doskonały. „Portret“ tego oryginalnego okazu, zdjęty fotograficznie umyślnie dla naszego pisma, zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Zagadki do nagrody.

Szarady.

Ułożył Cejot.

I.

Pierwszą wspak i trzecią — dużo ludzi płaci
W drugą i trzecią nogi wycieracie;
Drugą — wspak pierwszą niechętnie widzimy,
A zaś na *całość* z musu płacimy.
Całość — narzędzie ogniem ziejące,
Wśród ludu grozą i śmierć siejące.

II.

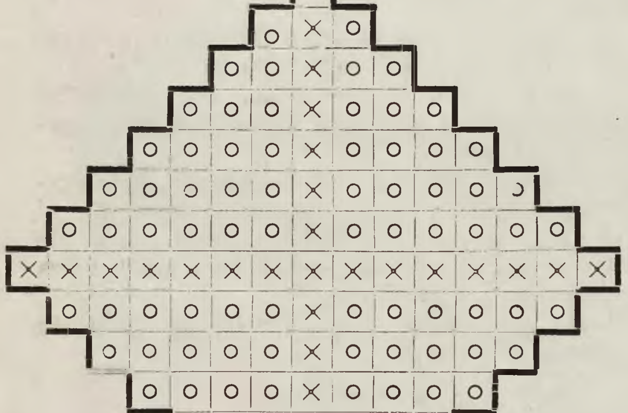
Pierwsze i drugie stare panny mają,
Pierwsze i trzecie drzewa posiadają,
Drugą i trzecią towarowi nadasz,
A *trzecią-drugą* w budżecie układasz;
Całość — to piękna ozdoba mieszkania,
Czasem jest świadkiem . czułego rozstania.

III.

Pierwsza, druga rzecz straszna dla dziecka każdego,
Druga wspak oraz *pierwsza* zbawiła Noego.
Trzecia, wspak pierwsza zamek z mordu znany,
Trzecia, wspak druga na drzewie widziany.
Wspak pierwsza druga, za ozdobę mamy.
Drugą i pierwszą chętnie jadamy.
Całość stworzenie niechętnie widziane,
W domach i kuchniach ze wstrętem cierpiane.

Kryptogryf.

Ułożył M. Rożański, Gorlice.

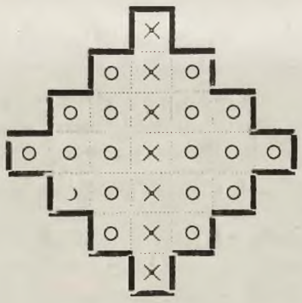


Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane w pionowym i poziomym kierunku, utworzyły znane polskie przysłowie.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Kwiat. 3. Orzech amerykański. 4. Imię męskie. 5. Ptak leśny, podobny do kury 6 Imię żeńskie. 7. Tytuły dwóch utworów Słowackiego 8 ? 9. Dwie rzeki w Galicyi o podobnem brzmieniu. 10. Znakomity malarz polski. 11. Poeta polski. 12. Miasto w Galicyi. 13. Ryba. 14. Pospolite imię męskie. 15. Spółgłoska.

Kryptogram.

Ułożył M. Rożański, Gorlice.



Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane w pionowym i poziomym kierunku, utworzyły nazwisko znakomitego deklamatora polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Ptak, ładnie gwiżdżący. 3 Imię męskie 4 ? 5. Szlachetny kamień. 6. Miara angielska. 7. Samogłoska.

Arytmogryf.

Ułożył M. Rożański, Gorlice.

						1						
					12	2	8					
				13	14	3	1	3				
			1	15	10	4	10	7	1			
		16	5	10	15	5	17	18	12	6		
	6	7	6	12	1	6	9	3	14	6	1	
1	2	3	4	5	6	7	8	3	9	5	10	11
	19	10	7	10	20	8	12	21	8	7	5	
		13	10	21	4	3	7	10	15	6		
			10	13	5	9	3	7	5			
				3	1	5	7	8				
					15	10	7					
						11						

W miejsce cyfr wstawić litery w ten sposób, aby litery środkowe, w pionowym i poziomym czytane kierunku, utworzyły tytuł znakomitej powieści A. Gruszeckiego, w której autor maluje niedomagania organizacyj kobiecych.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2 Uzębienie zwierząt mięsożernych. 3. Gatunek zboża. 4 Imię męskie. 5. Miasto w Galicyi, słynne z kopalni soli 6 Filozof grecki. 7. ? 8. Zakon, słynący z wyrobu doskonałego likieru. 9 Imię żeńskie. 10 Powieść Srokowskiego. 11. Drzewo. 12. Roślina, z której się robi płótno. 13. Spółgłoska.

Logogryf.

Ułożył M. Rożański, Gorlice.

Ze zgłosek: a, a, dard, er, giń, has, ja, ju, kób, ku, lau, lo, me, muł, na, o, pol rek, roch, ry, ski, styp, twer — ułożyć 10 wyrazów w ten sposób, aby litery po zątkowe, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko genialnego malarza polskiego, zaś końcowe, czytane w tymsamym kierunku, tytuł jego wspaniałego obrazu.

Znaczenie wyrazów: 1. Dwa imiona męskie. 2. Bożek grecki. 3. To, co pozostaje po wylewie wody. 4. Imię męskie. 5 Filozof grecki 6 Miasto w Rosyi 7 Miasto na Węgrzech. 8 Pasterz w górach. 9 Część składowa broni palnej. 10 Słynny kompozytor polski.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya jako nagrodę 2 funty czekoladek z cukierni A. Piaseckiego w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 37.

Szarady.

I. Wizykatorya. — II. Seneka.

Łamigłówka.

Apollonia, porcelana, oleander, Ostrawa, ołtarz, kosztorys, swawola, parswan Scipio, skracać, wiezło, kareta, oszpecić Śniatyn, dynamit, skazaniec, przejazd, Leszek, ej i król.

Drugie litery dadzą: Pol, Słowacki, Asnyk, Rej.
Piąte „ „ : Lenartowicz, Tetmajer.

Zagadka.

Ganon, ab ovo, Bülow rebus, ygrek, egida lokaj, anis ó. zakaz akcye. Pilif. ogrom, Laura, senes, kozak, awizo, Józef, Adolf.

Gabryela Zapolska Janowska — Józef Maskoff.

Logogryf.

Wilcze łyko, Izaak i Jakób, kolator, tomasyna, Obradowicz, Ruryk Głowacki, ołów Mindowe, Uwin, leniwce, indygowiec, Cook, Kurozwęki, ludye.

Wiktor Gomulicki — Obrazki weneckie.

Zagadka syllabowa.

Rząd pionowy: eskonto, pianino, Karolek.
Rząd poziomy: makaron, stonogi, wanilia.

Kryptogryf.

H, jeż, marka, Wrocław. Marienbad, Herzenstein, Pressburg, portfel, Treny, cis, n.

Herzenstein.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: M. Pfeiffer Przemyśl A. Fink Komorniki, E Zuatowicz Dziuńków, gub. kijowska L. Bojukowa Bełz, Z. Ehrenberg Kraków. A Surowiecki Kraków. K. Fuchs Peczeniżyn, T. Domain Sanok, M. Małaczyński Pikułowice, R. Sabat Lwów. Z. Sabatówna Lwów, H Mokrzycka Drohobycz, Al Bocsoń Bóbrka, K. Jurkiewicz Tłumacz, M. Świtalkowa Rzeszów. K. Pajzderski Chrzanów, St Łaszkiewicz Dębica. A. St. Bassara Niwiska, M. Rożański Gorlice, M. Cetera Dubiecko, J. Gomulińska Bóbrka, K. Chodkiewicz Zbydniów, Tow. „Zgoda“ Krosno, Fr. Niepokój Krosno, W. Dziewiński Kraków.

Nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek otrzymał przez losowanie p. K. Pajzderski w Chrzanowie. Prosimy o nadesłanie 75 halerzy na koszta przesyłki.

NADESŁANE.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).